

# Oficer



ELIZA ORZESZKOWA

GLORIA VICTIS

## Oficer

(R. 1863)

W pewien wieczór zimowy, długi i samotny, rzekła do mnie dawna bliska znajoma moja:

— Dobrze; życzenie twoje spełnię. Opowiadać ci będę o tych dziejach dawnych, widzianych, słyszanych, odczuty, przeżytych, na dnie pamięci i na dnie serca wiecznie żyjących. Strumień czasu po nich płynął i pod wartkimi jego falami bladły niekiedy ich obrazy, lecz nie znikaly nigdy; dziś powstają tętniące pulsem chwili, która je zrodziła, rozlegające się krzykami tragedii, pomalowane barwami poezji tak głębokiej, jak głęboka była ta otchłań ofiar i mąk...

Dobrze; ja tobie w ciszy i zamknięciu ścian samotnych opowiadać będę dzieje te i pokazywać postacie, które je stworzyły, a ty szeroko rozemknij ściany i dzieje powtórz, a postacie pokaż szerokiemu światu.

Chwila sposobna nadeszła. Chwila potrzeby nadeszła. Niech serca ostygające dla ojczyzny przybliżą się do tego żużlu, który niegdyś spadł był na jej drogę, niech odetchną wonią jego piekącą i gorzką.

To woń samego miąszu drzewa spalonego na ofiarnym stosie. Kto ją w płuca swe wciąga, tego oczy napelnią się łzami i serce uderzy mocno, a w tych łzach i w tym uderzeniu wskrześnie Miłość.

Nie dla potęgi żelaza i złota Miłość, ani dla rozkoszy pychy, ani dla triumfalnego wołania na świat cały: „Ja! Ja! Ja!”, gdy drudzy grzęzną w pogardzie i nieszczęściu.

Inna Miłość.

Ta, której zakochane oczy obejmują ziemię ojczystą, jak nad wszystko w świecie rodzęnsze, miłsze oblicze matki;

której przywiązane oczy wpatrują się w naród ojczysty, jak w nad wszystkie inne bliższe, miłsze grono rodzonych braci;

której wierne oczy towarzyszą braciom na drogach cnót, nad którymi rozpalają pochodnie radości;

której uwielbiające oczy wznoszą się ku dwom wielkim gwiazdom, noszącym imiona Sprawiedliwość i Wolność;

której mądre oczy dostrzegają, że bez światła tych dwóch gwiazd ciemna musi być ziemia i nieszczęśliwe muszą być jej narody.

Opowiadać ci będę o ludziach, którzy mieli w sobie miłość z takimi oczyma i dlatego byli miąszem swojego ojczystego drzewa.

Dlatego również zgorzeli na ofiarnym stosie.

Opowiadać ci o tym będę w ciszy i zamknięciu ścian samotnych, a ty szeroko rozemknij ściany i do tych, którzy zaprzeczają istnieniu w narodzie swym miłości ku wielkim gwiazdom, krzyknij, że kłamią!

I pokaż im tych, którzy z miłości dla wielkich gwiazd ginęli wtedy, gdy na przestrzeni rozległej, ogromnej, nikt jeszcze samych imion ich z miłością wymawiać nie umiał lub nie chciał.

Oni miłość tę wzięli razem z krwią poprzedników swoich i razem ze swoją krwią przelali ją w swych następców. Więc byli i są w narodzie naszym czciciele gwiazd.

Ofiara, Miłość, Ojczyzna

Wówczas pełny ich był nasz kraj, ja spomiędzy nich garść jedną tylko znałam. O niej tobie opowiadać i ją pokazywać będę.

Lecz nie z porządku, nie z kolei, nie według dostojeństw, nie według dat.

Co powiew chwili do pamięci przyniesie, co wyobraźnia najwyraźniej wymaluje, co wyszepta do ucha ten głos tajemniczy, który skądś, z niepojętych głębin czy wyżyn, myśli i słowa nam dyktuje...

## I

Dwór to był stary, ze starym, dużym, niskim, białym domem, ze starym, wielkim, cieniastym ogrodem, z dziedzińcem rozległym, zasadzonym drzewami, krzewami, kwiatami. Dwór to był poleski, więc dookoła i z bliska otaczały go stare, głębokie i wysokie lasy.

Od tego dworu niedaleko błękitniał na zielonych łąkach pas wody, niegdyś tu dla celów handlowych wykopany i niewiele dni minęło, odkąd partia powstańcza pod wodzą Romualda Traugutta przebyła ten Kanał Królewski i pogrzyła się w głębokości tych starych, wysokich lasów. W pochodzie swym dla wytchnienia i posiłku zatrzymała się była w tym dworze, a wkrótce potem o sinym brzasku jednego z pierwszych dni czerwcowych mieszkańcy dworu zbudzeni zostali nadpływającym ku domowi szumem głosów ludzkich z tętentu kopyt końskich, z turkotu wozów złożonym. Wojsko nadchodziło. Miało zapewne w ślad za partią pogrzyć się w głębie ciemnego lasu, lecz przedtem jeszcze zatrzymać się w tym miejscu, które tamtej posiłku i odpoczynku udzieliło.

Nie wszyscy jednak we dworze spali, bo zanim czarny w brzasku porannym sznur ludzi i koni ku bramie dziedzińca się zbliżył, dwaj młodzi mężczyźni z domu wybiegli i bardzo śpiesznie skierowali się ku miejscu, gdzie u sztachet otaczających dziedzińiec stał osiodłany koń. Biegając, zamieniali się krótkimi słowami.

— Czy wielu ich jest?

— Niewielu! Rota piechoty, secina lub dwie Kozaków.

— Widziałeś dobrze?

— Oho! Z tego dachu i przez lunetę można by prawie ich przeliczyć...

Były to więc czaty, z lunetą na najwyższym z dachów dworu czuwające. Sprawiał je młodzieniec dwudziestokilkuletni, niewysoki, lecz silnie i zgrabnie zbudowany, w ruchach i mowie niezwykle żywy. Drugi równie młody, ale węższy i powolniejszy, był właścicielem tego dworu. Obaj nie znajdowali się tam w ciemnych głębiach lasu dlatego, że obecność ich tu właśnie była potrzebna.

U samego już osiodłanego konia dopadła ich młoda dziewczyna, zaledwie w bielizny poranne ubrana, z rozrzuconą na plecach gęstwiną długich włosów.

— Olesiu! — krzyknęła. — Tylko ostrożnym bądź! Proszę cię... w ręce im nie wpadnij!

Chłopak z nogą w strzemieniu zaśmiał się świeżo, młodzieńczo.

— Cha, cha, cha! Czy myślisz, że jak zając jednym okiem na koniu spać będę?

Dziewczyna zaśmiała się także.

— Zmiłuj się, otwieraj dobrze oczy i uszy! — W śmiechu jej i głosie drżały łyzy. Z konia już podał jej rękę.

— Bądź zdrowa! Nie lękaj się! Przeniesie mnie mój Piorun choćby przez piekielne drogi.

Właściciel domu mówił śpiesznie.

— Najgorsze to, że lasu dobrze nie znasz. Gdy wyjedziesz z obozu, o pół wiorsty dwie drogi będą...

— Wiem, wiem! Już mówiłeś... jedna na prawo, druga na lewo...

— Pamiętaj wziąć się na lewo... gęstwina tam zaraz będzie i za nią moczar, który okrążysz... pamiętaj, drogą na lewo... Tą, co na prawo...

— Oni iść będą...

— Niewątpliwie!...

— Bylebym się nie spóźnił..

— Oho! Zabawią tu... Wszakże rewizja...

— A, prawda!

— To potrwa długo!

Wypuścił konia bocznymi wrotami dziedzińca na drogę przez drzewa przysłoniętą i bliskim kresem dotykającą lasu, a brat i siostra śpiesznie zwrócili się ku domowi, którego drzwi na ganek obszerny wychodzące cicho i szczelnie za nimi się zamknęły.

W tej samej chwili czoło nadchodzącej kolumny wojskowej dotykało już szerokiej bramy dziedzińca i nad otaczającymi go sztachetami wzniosły się w sinych błękitach świtania czarne ostrza kozackich pik.

Po niewiele minutach dziedzińiec napełnił się tłumem ludzi, koni i wozów. Z wozów z karabinami na ramionach zsiadali żołnierze, gdy wśród szumu krzyków i poruszeń ludzkich donośnie rozlegały się rozkazy dowódców i przed każdym oknem oraz przed każdymi drzwiami domu stawał na koniu w wysoką pikę uzbrojony Kozak.

Otworzyło się jedno, drugie, trzecie okno domu, wyrzały przez nie i wnet ukryły się głowy kobiece i męskie. Rozwarły się ciężkie, staroświeckie drzwi na ganek z czterema grubymi słupami wychodzące i na czele kilkunastu żołnierzy uzbrojonych, w obszernej sieni przez młodego gospodarza spotkani weszli do domu dwaj oficerowie. Rewizja.

Szukali broni, kul, prochu, ludzi ukrytych, papierów zabronionych, odzieży podejrzanej, wszelkich śladów i dowodów współdziałania i współzucia z tymi, za którymi niebawem udać się mieli w tajemnicze i nienawistne im głębokości leśne. O współdziałaniu i współzuciu wątpić nie mogąc, szukali śladów ich i dowodów, może też dla siebie samych jakichś wskazań i światła, a nie znajdując, coraz głębiej, coraz popędliwej rozkopywali, rozkruszali, rozorywali dom. Z ust oficerów wypadały zwracane do żołnierzy rozkazy:

— Oderwać podłogę! Rozbić zamek! Porozrywać pokrycie sprzętów! Wysypywać ziemię z wazonów! Przebić ścianę, która przy uderzeniu wydaje dźwięk głuchy! Wysadzić drzwi, od których klucz kędyś zaginął!

Stukały młoty, rozlegały się i w coraz większą wrzawę wznosiły grube głosy, spod ciężkich butów, spod odrywanych posadzek, z rozdzieranych ostrzem pałaszy materii wzbijały się pod niskie sufity pokojów krztuszące i żółte kurzawy, obrazy ze ścian padały na szczątki sprzętów, ktoś kolbą strzelby uderzył w zwierciadło, które z trzaskiem błyszczące okruchy po ruinach rozsypywało, ktoś inny z grubym śmiechem rozbijał dach fortepianowy, aż roztrzaskiwał się na drzazgi i klawiatura wydawała pod ciosami przeraźliwe krzyki i zgrzyty, u okien waliły się na oderwane części posadzek wysokie oleandry, begonie, kalie pozbawione ziemi, w której wznosiły się. Wszystko to sprawiali żołnierze zrazu w milczeniu i tylko rozkazom dwóch oficerów posłuszni, z coraz głośniejszymi wybuchami głosów rozjątrzonych albo drwiących, z coraz zamaszystszyimi rozmachami ramion, ubranych w grube i grubymi błyskotkami połyskujące rękawy mundurów. Oprócz tych, którzy za przywódcami swymi tu weszli, wsuwać się zaczęli inni, zrazu wahający się i cisi, potem coraz głośniejsi i śmielsi. Tu i ówdzie w pewnym oddaleniu od oficerów wybuchać poczęły grube śmiechy; te i owe usta przeżuwały przysmaki we wnętrzach sprzętów znajdowane, gdy głodne oczy z połyskami chciwości biegały po kątach i sprzętach pokojów upatrując pożądanego łupu. W powietrzu czuć było rozpoczynającą się swawolę żołdactwa. Nie poskramiali jej, nie zdawali się jej spostrzegać dwaj oficerowie.

Byli to ludzie zupełnie do siebie niepodobni. Setnik kozacki z wysmukłą postacią urodziwego młodzieńca, ze smagłą cerą i kruczymi włosami południowca, ruchy miał spokojne i usta najczęściej milczące, niekiedy tylko pod czarnym wąsem uśmiechnięte ironicznie lub od znudzenia skrzywione. Ogniste oko jego odrywało się często od rozglądanych miejsc i przedmiotów, a biegło tam, kędy przesunęła się suknia kobieca, szczególnie tam, gdzie u boku siwej kobiety w czarnej sukni ukazywała się piękna, biała dziewczyna, ze łzami nieruchomo stojącymi w błękitnych oczach.

Starszy rangą i wiekiem dowódca roty pieszej, już może czterdziestoletni, dość wysoki, ale pleczysty i ciężki, o grubych członkach ciała i grubej, choć dość kształtnej twarzy, blondyn, z czołem bielszym od policzków ogorzałych i rumianych, objawiał w poruszeniach, mowie, w wydawanych rozkazach popędliwość tak gniewną i gorliwość tak głośną, ruchliwą, zawziętą, że zdawały się go one wprawiać w chwilowe oblędy. Były chwile, w których własnymi rękoma wyrывał ze sprzętów zamki, rękojeścią szabli ostukiwał podłogi i ściany, biegał, miotał się, krzyczał wydając coraz nowe i coraz surowsze rozkazy, a siwe źrenice jego pod rudawymi brwiami nabierały oblędnych niepokojów i połysków. Często też niespokojne te oczy z wyrazem niemych zapytań zatapiały się w obojętnej

i niekiedy tylko ironicznej lub znudzonej twarzy młodszego towarzysza. Zdawały się one wtedy do twarzy tej wołać: „Czy widzisz? Czy spostrzegasz? Patrz! Czynię wszystko, czego potrzeba, więcej, niż potrzeba, więcej, niż ty czynisz... ja wierny służbie, gorliwy!”

Na dziedzińcu rozległ się, a raczej wśród gwaru obozującego wojska jak grzmot potoczył się ogromny wybuch krzyków i śmiechów. Młody gospodarz domu w okno spojrział i zwrócił się do oficerów.

— Panowie — rzekł — żołnierze kufy z wódką z gorzelnianego składu wytaczają...

— *Tak sztoż?* — z pogardliwym na mówiącego spojrzeniem ostro zapytał kozacki setnik.

Młodzieniec odpowiedział:

— Upiją się, a ludzie pijani palą i zabijają...

Zastanawiali się chwilę w milczeniu, po czym z ust Kozaka z przeciągłym syknięciem wypadło słowo:

— *Pust!*

Ale tym razem na twarzy popędliwego i krzykliwego kapitana ukazał się wyraz wahania i niepewności. Do ucha prawie rzucił towarzyszowi pytanie:

— Jak myślicie?... Zabronić? Może być *ptocho*... tam...

Palcem poruszył ku stronie, w której za oknami widniał las.

Kozak z uśmiechem na czerwonych ustach odrzucił:

— *Pust! pi-jut! Mołodcami stanut!*

Za lasem słońce już wschodzić musiało, bo nad różaną wstęgą jutrzeńki wystrzeliło na pogodne niebo kilka smug złotego światła. Rewizja domu była skończona; pozostawał ogród rozległy, cienisty, w którym więcej jeszcze niż w ścianach domu rzeczy i ludzi ukrywać się mogło. Oficerowie ze znaczną liczbą żołnierzy obu broni udali się do ogrodu; w pokojach domu zapanowała swawola.

Z krzykami i śmiechami żołnierze wypróżniali wnętrza sprzętów i naczyń, zawartość ich ukrywając w odzieży lub wyrzucając przez okna z trzaskiem otwierane, na otaczające dom trawy i kwiaty. Teraz prawie wszystkie te grube usta coś jadły albo piły i wszystkie ramiona były czynne, rozmachane, wzajem ze sobą mocujące się, wyprężone albo chwytny. W tupocie stóp ciężkich rozlegały się trzaski i brzęki rzeczy łamanych, rozbijanych, pomiędzy śmiechów i swawolnych krzyków wybuchały niecne słowa karczemnych przekleństw i łajania.

Trwało to dość długo; po czym wewnątrz domu opustoszało, a w zamian na dziedzińcu wrzał coraz wrzaskliwszy i swobodniejszy gwar. Czuć było, że w mrowiącym się tam tłumie ludzi więzy zazwyczaj go opasujące rozluźniają się i pękać poczynają, że siły jakieś wewnętrzne, nieposkromione gaszą w nim pierwiastek człowieczy, a ze sfory spuszczają zwierzęcy. Sił tych dwie było: palący wnętrza klatek piersiowych trunek i budzący rozjątrzenie widok bliskiego lasu. Gdybyż to było pole otwarte, jasne, pospolite, wszystkim widzialne i znane! Ale ta ściana tajemnicza, ta zagadka, te nieznanne drogi wśród śmierci niewidzialnie zaczajonej w mrocznym cieniu... w gęstwinach dla wzroku nieprzebitych... Łaskotało to piersi i rozogniało mózgi zadymione oparami wódki...

Słońce weszło zza lasu i stanęło nad nim tarczą wypogodzoną, złotą.

Część dziedzińca zajmował natłok koni osiodłanych i zaprzężonych do wozów.

Gdzie indziej pod starymi lipami i topolami broń w kozły złożona tworzyła wały żelaznymi ostrzami najeżone. Promienie słońca wesoło igrały na powierzchni bagnatów i figlarnie mrugały w oczach karabinowych luf.

Na trawnikach i na zdobiących je klombach kwiatowych blask słońca wybielał do śnieżystej białości koszule żołnierzy, którzy z mundurów rozebrani, mniejszymi lub większymi tłumikami leżeli dokoła kotłów z warzącą się strawą i dokoła kuf wysokich, napełnionych wódką. Kotły wybuchały gęstymi kłębamii pary, a kufy wonią, która gasiła w powietrzu jaśminowe i rezedowe zapachy.

U stóp rozkwitłych krzaków jaśminowych i różanych tęczowymi blaskami iskrzyły się szczątki porozbijanych szkieł i kryształów. Mnóstwo rąk ciemnych niosło ku ustom pełne trunku naczynia, aby je potem rzucać na podeptane trawy i kwiaty, gdzie, subtelne i wyrzeźbione, rozsypywały się rojami brylantowych iskier.

Jeziorem wyiskrzonym, zbałwanionym, pełnym groźnych pomruków, nad którymi wzbijały się swawolne pogwizdy i pokrzyki, zdawał się być ten dziedziniec szeroko roz-

łożony przed domem niskim, długim, białym, ze wszystkimi drzwiami i oknami szeroko rozwartymi i ukazującymi wewnątrz zburzone, pełne żółtej kurzawy i nierozpoznawalnych form rzeczy zrujnowanych i zbitych.

Na ganku zaś...

O jeden ze słupów ganku oparty plecami stał młody gospodarz domu pośród żołnierzy, którzy trzymali w rękach strzelby z osadzonymi na nich bagnetami. Na warcie tu postawieni, otoczyli tego, ku któremu pchały ich ciemne instynkty, przez moment niebezpieczeństwa obudzone i wzbudzone. Wypity trunek zaczerwienił ich policzki i rozżarzał źrenice pod groźnie marszczącymi się czołami. Z ust padały słowa gróźb, przekleństw, natrząsań się, lajań, coraz głośniejsze, grubsze; i wśród coraz zapalczywszych rozmachów ramion coraz szybciej poruszały się w rękach bagnety.

Wysmukły młodzieniec stał wśród tej groźnej wrzawy nieruchomy, z bezbronnymi ramionami skrzyżowanymi na wątłej piersi, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Trochę płowych włosów spadło mu na pobludłe czoło i kropla krwi wystąpiła na cienką wargę wśród męki przygryzioną. Na mękę tę składały się uczucia rozmaite. Oczy gorzały mu spod spuszczonej powiek gniewem tym krwawszym, że niemym, bo do milczenia zmuszonym przez własną niemoc i bezbronność. W zamian dwie wciąż ku niemu przeciskające się i wciąż przez żołnierzy odpychane kobiety były całe trwogą, tą trwogą szaloną, która oczy rozszerza, wszystką krew rzuca do serca, nogi wprawia w drżenie.

Gdy coraz zwęźało się i zaciemniało otaczające młodzieńca koło żołnierzy i bagnatów, siwa kobieta w czarnej sukni z wysiłkiem nadludzkim przedarła się ku synowi i odpychana, ramionami objąć go nie mogąc, roztaczała je za nim jak drżące skrzydła, które to opadały, grubiańskim pchnięciem w dół strącane, to podnosiły się znowu, gdy usta targane konwulsją postrachu wyszeptwały jedno tylko, wciąż jedno słowo:

— Zmiłujcie się! Zmiłujcie się! Zmiłujcie się!

Nagle przeraźliwym głosem krzyknęła:

— Zabijają!

Bo kilka naraz bagnatów już ostrzami oparło się o pierś i skrzyżowane ramiona młodzieńca.

Lecz w tejże chwili piękna dziewczyna, w białej, porannej odzieży, wysoka i silna, przedarła się przez las uzbrojonych ramion i obu rękoma chwytając mordercze bronie, usiłowała od piersi brata je usuwać. Nie zdołały tego dokonać, lecz rozsypały się jej od głowy do kolan niedbale przedtem zwinięte włosy złote i z szerokich rękawów odzieży wychyliły się przedramiona jak alabaster białe.

Kilka grubych głosów śmiać się i wołać zaczęło:

— *Ech, krasotka! Bieleńkaja! Prelest' kakaja! Pagodi!* Dostanie się i tobie! *Atstupiś, a to pocetuju!*

Wtedy stało się coś nadzwyczajnego. Siwa kobieta w czarnej sukni jak ptak zleciała z ganku i leciała przez dziedziniec ku ogrodowi, z rozpostartymi ramionami, z twarzą jak chusta białą, z jednostajnym wciąż, ustawicznym, coraz głośniejszym wołaniem:

— Gdzie kapitan? Gdzie kapitan! — Przed tym krzyżącym widmem rozstępowały się lub uchylały z drogi gromady pijanych ludzi, aż u wejścia do ogrodu przed dwoma nadchodzącymi oficerami stanęło i ze splecionymi u piersi rękoma powtarzać zaczęło po wiele razy, nieskończenie.

— Panie kapitanie! Moje dzieci! Moje dzieci!

Teraz i oni już z dala dostrzegli. Rozpalone od trunku i wzburzonych namiętności twarze żołnierzy, ostrza bagnatów ze wszech stron skierowane ku opartemu o słup ganku młodzieńcowi, piękna dziewczyna, cała w splątanych złotych włosach, szarpiąca się w ramionach rękawami munduru okrytych...

Dwaj różni ludzie, dwa różne wrażenia.

Po smągłej twarzy kozackiego setnika przeleciały błyskawice uśmiechów swawolnych i srogich, czerwone usta niedbale rzuciły do towarzysza słowa.

— *Niczewo siebie barysznia! Stoit ruskago saldata!*

Ale dowódca roty pieszej słów tych nie słyszał.

Szerokimi ramionami jego wstrząsnęło drgnienie i krew falą gwałtowną rzuciła się mu do bielszego do policzków czoła.

— *Ech, czort wazmi! Napiliś! Nieszczęstje budiet!* — wykrzyknął i z twarzą, na której gniew walczył z przestraczem, kroku przyspieszył. Przyspieszał go ciągle, aż bieć zaczął, biegnąc wpadł na wschody gankowe i zaryczał. Bo ryczenie to było raczej niż krzyk, grzmot to był głosu przeciągły i wyrzucający z piersi grad wyrazów obelżywych i groźących. Jedną ręką pałasz z pochwy do połowy wysuwając, drugą ku dziedzincowi wypręzał.

— *Precz! Precz! Precz!* Do wozów i koni! Gotować się do odjazdu!

Minuta, dwie minuty i ganek opustoszał. Po twarzy kapitana ściekały strugi potu, ocierał je chustką, mrużąc jeszcze niezrozumiałe połajania i przekleństwa. Wzruszenie, którego doznał i wysiłek, którego dokonał, musiały być wielkie.

Siwa kobieta, kryjąca dotąd u czarnej swej sukni wzburzoną i rozplakaną twarz córki, zbliżyła się teraz do człowieka, który uratował życie i cześć jej dzieci. Drżąca jeszcze i jak papier blada szepnęła:

— *Dziękuję.*

On oburkliwie zamruczał:

— *Nie za czto! Nie za czto!* To moja powinność!

Potem ruchem porywczym zwrócił się do młodego gospodarza domu i głosem szorstkim, ale nie podniesionym, nie gniewnym, mówić zaczął:

— *Oj, wy bezumcy!* Co wy narobili! Ot nieszczęście! Ale sami... sami... sami wyinni... *bezumcy* wy! *Ślepcy!* *Obląkańcy!*

Wstrzymał się, obejrzał za siebie i ujrawszy stojącego w pobliżu setnika Kozaków na niego i innych zawołał, aby żołnierze gotowali się do odjazdu, aby za minut dziesięć byli na wozach i na koniach, rozkazywał.

Setnik, niższy rangą, podniósł rękę do czoła, salutował, lecz w celu spełnienia rozkazu nie odszedł, kobieta zaś w czarnej sukni, już nieco uspokojona, znowu do kapitana przemówiła:

— *Panie!* Uratował pan dzieci moje... od rzeczy strasznych. Pragnę wiedzieć, komu wdzięczność jestem winna... jakie jest pana nazwisko?

Rzecz dziwna! Słowa te głosem łagodnym i od wzruszeń doznanych drżącym wymówione jakby czymś twardym czy ostrym w kapitana ugodziły.

Znowu pod suknem munduru zatrzęsył się jego szerokie ramiona i znowu fala krwi aż po brzegi płowych włosów załała mu czoło. Z ponurym błyskiem oczu, szorstko i szybko odrzucił:

— *Na czto wam moja familja?* Co wam do tego?

Setnik kozacki, zamiany słów tych słuchając, miał na ładnej, smagłej twarzy uśmiech zagadkowy i przez ogniste oczy jego, utkwione w twarzy kapitana, przemknął błysk zjadliwego szyderstwa. Potem znowu przed starszym rangą towarzyszem stanął w wyprostowanej postawie, z ręką do czoła podniesioną.

— *Mam honor donieść, że żołnierze stawy jeszcze nie zjedli i że należy się im...*

— *Na konie wsiadać!* Do wymarszu! *Shuszat'!* — krzyknął kapitan i setnik z ganku zawołał:

— *Na koń! Marsz!*

Kapitan na gospodarza domu ani na dwie stojące przy nim kobiety nie spojrzął, czapki jednak, pośpiesznie w ziemię patrząc, uchylił, ciężkim krokiem z ganku zszedł i na przygotowanego mu konia wsiadłszy, z wolna pomiędzy ruszający się tłum żołnierzy wjechał.

W kilka minut potem dziedziniec był już pusty. Jeszcze jakiś zapóźniony wóz szybko pod stajniami przejechał, jeszcze za sztachetami, za budynkami przebiegły jedne, drugie straże kozackie z posterunków zjeżdżające, jeszcze od oddalającego się i sznurem na drodze wyciągniętego wojska dochodził poszum głosów ludzkich, z turkotem wozów i tętentem nóg końskich zmieszany, ale dziedziniec pusty był i nie było w nim nikogo oprócz zdeptanych muraw, połamanych krzewów i kwiatów, błyszczących okruchów, porozbijanych naczyń, kałuż rozlanego trunku i podnoszących się nad tym wszystkim smrodliwych, ohydnych wyziewów.

Piękna dziewczyna z roztarganymi włosami i nabrzmiałą od płaczu twarzą rzuciła się ku matce, ręką na las wskazując.

— *Mamciu! Oleś tam! I oni tam poszli! W ręce im wpadnie! Zabiorą... może zabiją!*...

## II

Aleksander Awicz miał lat dwadzieścia pięć, budowę ciała kształtną i silną, wyraziste rysy twarzy i wśród smagłej cery ciemnego blondyna piękne, szafirowe oczy.

Przed rokiem wrócił ze stolicy państwa, gdzie ukończył jakieś nauki wyższe, do swej niedużej, lecz ładnie pomiędzy las i jezioro rzuconej wsi rodzinnej, w której zamieszkał.

W rodzinie i szerokiej okolicy nazywano go wesołym Olesiem.

Słusznie go tak nazywano; bo i teraz nawet, gdy obóz powstańców opuścił, a w drodze, którą miał przed sobą, spotkać go mogły niebezpieczeństwa poważne, na twarzy jego ocienionej daszkiem małej czapki malowało się gorące, wezbrane mową obfitą i uśmiechem wesołym wybuchnąc gotowe życie.

Rad był, że pomyślnie i w porę spełnił włożone na niego zadanie; rad był z tego, co widział i słyszał w obozie; z upału uczuć, który rozlał się po świetle i gorącym strumieniem wlewał się mu do piersi, z różnorodnych nadziei, które w tej piersi wygrywały radosne hejnały, z tej pięknej dziewczyny, która dziś o dnia brzasku żegnała go z trwogą serdeczną, ze swoich lat dwudziestu pięciu, z wielkiego koła tworów świeżych, wonnych, cichych, które go otaczało, gdy na swym ulubionym koniu wąską drożyną leśną jechał.

Są natury ludzkie podobne do wód stojących, które wszystko, co je otacza, odbijają w postaciach sennych, mdłych, nudnych, martwych i takie, w których jak w wartkich potokach świat rozłamuje się na tysiąc świetlistych, barwistych obrazów, na tysiąc ognisk tryskających promieniami i tęczkami.

On miał naturę wartkiego potoku; świat tysiącem czarodziejskich widzeń odbijał się w jego silnej młodości i wrażliwym sercu, krzesząc w nich wesołość. Widzeń rozwiać i wesołości zgasić życie czasu jeszcze nie miało.

Las w to letnie przedpołudnie cichy był i chodziły po nim tylko szmery lekkich wiatrów. Drożyna w długich zakrętach biegła pomiędzy leszczynami, spośród których ciekawie wyglądały białe i żółte oczy kwiatów. O giętkie pręty leszczyny i jej chłodne liście ocierały się boki konia, który czasem wesoło parskał. Nad leszczynami daleko wzwyż i w głąb wzbijały się iglaste i liściaste drzewa. Żywica pachniała, ptaki szczebiotały pośród drzew.

Po głowie jeźdźca przewijał się różaniec myśli, którego każdy paciorek miał inną barwę i z coraz innej strony trącał o serce.

Dobrze tam dzieje się w obozie. Zuchy chłopcy! Jak oni dzielnie te wielkie trudy i niewygody znoszą, jak nie żalują niczego, co porzucili, nie tracą zapału i odwagi! Tęgo też w rękę trzyma ich naczelnik! Ciągłe musztry, ćwiczenia. I — karność! Przecież tam już dla kogoś nieposłusznego dół byli wykopali i rozstrzelany miał zostać... tylko mu inni wyprosilili życie. Co za człowiek! Jak stał hartowny, a czasem tkliwy jak kobieta. Za sprawne przywiezienie wieści dziękował mu dziś oczyma więcej niż ustami i można było wtedy przez te oczy zobaczyć, że dusza jego stoi w ogniu męki...

Cóż? Nie dziw! Pułkownik wojsk regularnych w rzemiośle wojennym uczony wie zapewne, jak będzie trudno. Partyzantka... No, cóż robić! Tak krawiec kraje, jak materiału staje...

Tu drożyna, którą jechał, w gąszcze zarośli wpadła i przepadła. Wstrzymał konia, rozejrzał się dokoła. Las, las i tylko las. A gdzież ten moczar, nad który miał przyjechać, aby okrążywszy go znaleźć się na drodze szerokim i trudnym objazdem prowadzącej ku dworowi? Czy tylko po opuszczeniu obozu nie wziął się był na prawo zamiast na lewo? Głowę miał tak pełną tego, co w obozie widział i słyszał, że kto wie, czy nie popełnił omyłki kapitalnej? Trzeba zorientować się, pomyśleć...

Stanął na strzemionach, aby dalej wzrokiem sięgnąć. Jakies tam w oddaleniu niedużym przeświecenie pomiędzy drzewami, które rozstępują się przed jakąś smugą żółtozieloną. Może to właśnie ta łąka błotnista... ten moczarek?

Z wolna, wśród wysokich sosen, po sprężystych mchach jechał ku prześwieconemu błękitem nieba punktowi lasu i rozwinął się w nim znowu różaniec myśli.

Gorzka szkoda, że nie jest tam z nimi w obozie i czasem nawet aż wstyd. Ale nie jego w tym wola. Taki był rozkaz. Trochę ludzi młodych i oddanych musiało zostać na swobodzie, aby partii służyć w inny sposób. Ale i na niego pora przyjdzie... Gdy partia przechodzić będzie w okolice inne, wtedy... Czy tylko przechodzić będzie? Czy dotrwa?



Czy się nie rozproszy? Naturalnie, że prędzej lub później musi rozproszyć się, lecz zgramadzi się znowu gdzie indziej i wtedy... Ale co dziś będzie? Co dziś się stanie? Dziś... za godzinę... za dwie... Gdy wyjeżdżał z obozu, wrzały tam przygotowania. Poleje się krew... padną trupy... czyje? Kto z przyjaciół, krewnych, towarzyszy jego dożyje jutra? Jaki będzie wieczór dnia dzisiejszego, tego pięknego dnia? O, Boże! Ty stwarzasz takie jak dzisiejszy dzień piękne, całe błękitne i złote, a ludzie rzucają na nie czerwone plamy!

Smutek jak ciężki kamień spadł mu na serce, w którym zakіяł niepokój o wynik bliskiej bitwy zrazu, a potem o daleki koniec tego wszystkiego... Młoda wiara w ostateczne zwycięstwo sprawy, silna wiara w powinność, która, bądź co bądź, pełnioną być musi, jak kolumny złotych domów przez podmuch wiatru targnięte, zachwiały się w podmuchu wątpienia, które ostrzem strasznie bolącym przeszło serce.

Zycie nad gaszeniem wesołości młodzieńczej pracować zaczynało...

Ale już przybył tam, dokąd pomimo zadumy ciągle kierował konia i stanął u brzegu niedużej łącki leśnej. Nie jest ona tym mokradłem, które spodziewał się tu znaleźć. Gdzie tam! Sucha i kwiecista, iskrzy się od tysięcy żółtych jaskrów, a brzegiem jej biega białe szlaki poziomkowego kwiecia. Wybiega też z niej w głąb lasu parę drożyn wąskich i cienistych.

Ze zniecierpliwieniem dłonią w czoło się uderzył. Głupstwo stało się kapitalne! Żle pojechał! Od razu pewno po opuszczeniu obozu zmylił drogę.

Rozgniewany na samego siebie zastanawiał się, rozglądał po horyzoncie. Jedna z dwóch dróg do lasu z łącki wbiegających bardziej od drugiej zwracała się w kierunku dworu. Wybrał ją i pojechał znowu wąskim pasem zielonym, pośród gałęzi drzew, które co chwilę odbijały się mu o pierś i głowę, smagając boki jego konia. Rozłożyste, pełne wielkiego liścia ramiona grabów, klonów, dębów zarzucały mu przed wzrokiem zasłony nieprzeniknione, tak że niekiedy o parę kroków przed sobą nic widzieć nie mógł. Z dołu drogi za to, spomiędzy traw, które ją porastały, spomiędzy przedzierających się przez gałęzie smug słonecznych uśmiechały się ku niemu poziomki dojrzałe, bujne, lśniące wilgotnym połyskiem jak krople czerwonej rosy. Zapach bił od nich świeży jak poranek, dziki jak ten las.

Hej, hej, żeby tu była teraz jego Tosia, toż by zbierała te poziomki, toż by to była radość! Jak żywa stanęła mu przed wyobraźnią dziewczyna kochana, cała w śmiechu i słońcu chyląca się nad poziomkami, i znowu uśmiech promienny rozlał się mu po twarzy.

Gdyby tak teraz, w morzu zieleni, w tej ciszy i w tej samotnej dziczynie znaleźć się z nią razem, we dwoje... bez tego niepokoju, który jak świder wkręca się w serce, bo...

Co tam z nią dzieje się teraz, z nimi wszystkimi, z tym dworem, w którym dzieckiem, pacholęciem, młodzieńcem przeżył tyle godzin szczęśliwych? Gdy odjeżdżał, tamci nadjeżdżali. Co uczynili? Czegóż uczynić nie mogli? W takich jak ten momentach złe sny stają się jawą, baśnie prawdą, niepodobieństwem rzeczywistością. Co się tam dzieje teraz? Może płomienie... może kajdany... może trupy... Nie zdarzało się to gdzie indziej... niedaleko, niedawno?

Pochylił nisko twarz i wpadł w otchłań zadumy dręczącej jak zły sen... Piękny koń gniady stąpał pod nim z wolna, równo, cicho po miękkich trawach. Dłoń jeźdźca głąskała go niekiedy po lśniącym, zaokrąglonym grzbiecie, wtedy parskał wesoło, zgrabną głowę jakby w znak przyjacielskiego porozumienia podnosząc, to opuszczając i znać było, że pomiędzy tym człowiekiem a tym zwierzęciem panowała zażyła przyjaźń...

Wtem do słuchu jeźdźca przedarło się coś niewyraźnego, lecz wyraźnie obcego leśnym szmerom i odgłosom. Jakby turkot słaby, jakby głuchy w oddaleniu tętent. Wiatr ani drzewa tak nie szumią. Nie był to żaden z głosów lasu... Minuta, dwie i umilkło to, ustało. Ptaki w zamian, nie wiedzieć dlaczego, zaświergotały nad wąską drogą chórem prawie ogłuszającym, lecz niepodobna było zgadnąć, czy rozweselonym lub strwożonym.

Zatrzymał konia i począł wsłuchiwać się w ciszę. Nic już w powietrzu nie było oprócz lekkich szmerów wiatru po gęstwinach i tego szczebiotu ptactwa, który uciszać się począł.

Może to oni kędyś niedaleko stąd przechodzą, przejeżdżają?

Po raz pierwszy uderzyła mu do głowy myśl, że może się z nimi spotkać. Uderzenie to było zrazu podobnym do wrzątku, który by człowieka od stóp do głowy oblał. Ale

prędko ostygąć zaczęło. Przypuszczenie nie zdawało się bardzo prawdopodobne, bo las był ogromny i tamta droga musiała znajdować się stąd daleko. A jeżeli... Cóż? Gdzie drzewa rąbią, tam trzaski lecą! Na wojnie jak na wojnie! Uczynił to, co do niego należało i jedno tylko głupstwo popełnił, drogę w lesie zmylił... Ale przecież i koń mający cztery nogi potyka się czasem; cóż więc on, który ma jedną tylko głowę i w dodatku aż gotującą się od różnych myśli i niepokojów!

Jechał dalej i myślał, co w wypadku spotkania uczyni. No, przede wszystkim poprosi pięknie Pioruna, ażeby go jak na skrzydłach wiatru odniósł jak najdalej... jeżeli będzie można, a jeżeli nie będzie można, to... to powie... cóż powie? Na polowanie wyjechał... Jak to? Bez strzelby i nijakiej broni? Więc na przejażdżkę... niby tak sobie... spaceruje konno po lesie, dla przyjemności czy, jak mówi stary wuj Klemens, dla „mocjonu”...

Uśmiechnął się na wspomnienie o poczciwym wuju, trochę też z pomysłu konnego dla przyjemności spacerowania po lesie w tej erze dziejów lasu, ale zaraz ogarnęło go przykre uczucie niesmaku. Kłamać, zapierać się, wykrętów używać! Wstrętne! I najlepiej nie myśleć o tym, co się prawdopodobnie nie stanie.

Koniec drożyny, którą jedzie, już widać. Dotyka, jak się zdaje, koniec ten jakiejś szerokiej drogi, której jednak dostrzec niepodobna. I nic wcale o parę kroków naprzód wyraźnie dostrzec niepodobna z za tych zasłon gałęzistych, co chwilę nad drożyną opadających.

Znowu odgłos jakiś, obcy odgłosom lasu. Jakby w pobliżu powolne stąpanie konia, a dalej, dalej, jakby poszum przyciszony, ale nie drzew i nie wiatru...

Hej! Żle z nami! Tam ludzie są! Ale jacy? Kto? No, cóż robić? Raz kozie śmierć!

Piękny gniasz szeroko piersią roztrzącił, rozerwał gęsty upłoc giętkich gałęzi grabowych, za nimi ukazała się droga szeroka i jeździec wychylający się z wąskiej drożyny oko w oko spotkał się z drugim jeźdźcem, który nadjechał drogą szeroką i szybkim, wprawnym ruchem konia swego przodem ku niemu obrócił.

Spotkanie to było tak nagłe i niespodziewane, że oba konie jak wryte stanęły i obaj jeźdźcy wzajem w sobie zatopili wzroki zmieszane, lecz niemniej przenikliwe i bystre.

Człowiek pleczysty, na twarzy rumiany, w mundurze oficera rosyjskiego, bystro, podejrzliwie, posępnie patrzył spod brwi zjeżonych na młodzieńca, który w postawie wyprostowanej, siedząc na pięknym koniu, zatapiał w nim roziskrzone oczy. Dwa rozłożyste klony wznosiły nad ich głowami głęboką arkadę z prześwietlonego przez słońce liścia.

Milczenie trwało krótko: sekundy; po czym basowy i oburkliwy głos oficera zapytał:

— *Kto wy takoj?*

Z wielkim spokojem młody jeździec imię i nazwisko swoje wymówił.

— *Atkuda?*

Wymienił nazwę rodzinnej wsi swojej, niedalekiej stąd, w której przebywał stale...

Siwe oczy oficera roztroprnym, badawczym spojrzeniem ogarniały go całego, od stóp do głowy. Nie mógł mylić się; w zwykłym, codziennym ubraniu, bez broni, bez śladów zmęczenia w powierzchowności własnej i konia, na którym jechał, nie mógł to być powstaniec. Więc czegoż w okolicznościach... takich włóczy się po lesie? Ten jakiś dziwny gniew, posępny i nieustanny, który zdawał się być stałą jego cechą, wezbrał mu w oczach i na twarzy.

— *Czego szlajecieś po lesie? Rozum postradaliście, czy nigdyście go nie mieli? Ej, ty, Boże mój, kakije bezmozgħyje ljudi!*

A potem z wybuchem głosu i rozkazującym gestem ramienia.

— *Ubirajsia k' czortu! Do domu jedź! Skarej! skarej!*

Młody jeździec ukłonem grzecznym czapki uchylił, po czym konia na tę drożynę, która w to miejsce przywiodła go, zawrócił.

Oj, ty, Piorunie mój kochany, przenieśże ty mnie przez piekielne drogi! Bo oto na szerokiej drodze, w pewnym jeszcze oddaleniu, lecz już bliżej niż przedtem tętent koni słycać, turkot wozów...

Posłuszny głosowi i dotknięciu pana swego poniósł go Piorun po drożynie leśnej, przez zasłony gałęziste, które za nim rozwierały się, to zamykały i niósł coraz prędzej, ale krótko... bardzo krótko. Tuż, tuż w pobliżu rozległ się tętent biegnących koni, wśród zieleni liścia zamigotały czerwone ozdoby ubrań i długie piki zarysowały czarne linie. Ko-

zacy przedzierali się przez las ku dostrzeżonemu jeźdźcowi, drogę mu zajeżdżając. Na czele ich pędził setnik, wysmukły, zgrabny, piękny w czerwonych pasach ubrania, z czarnymi oczyma rozgorzałymi wśród śniadej twarzy...

Jakaż słuszność tkwiła w dwa razy powtórzonym wykrzyku oficera: *Skarej! Skarej!* Może gdy go wydawał, przemknęła mu przez głowę myśl o tamtych jak ptaki chyżych. Ale już czasu na pośpiech nie było.

— *Stoj! Stoj!* — rozległo się i echemi rozbiegło się po cichym zielonym lesie. Ze wszech stron otoczony stanąć musiał.

Oficer plecysty i nieco na swym ciężkim koniu przygarbiony ku najeżonej pikami grupie jeźdźców powoli nadjeżdżał.

Teraz setnik kozacki zapytywał:

— *Kto wy takoj?*

Czy brzmienie głosu, w którym obok srogości czuć było wzgardliwą drwinę, czy namiętne oczy południowca, w których błyskała iskra złowroga — coś w tym człowieku i coś w tym pytaniu targnęło dumę pojmanego młodzieńca i dmuchnęło na żarzącą się w nim iskrę gniewu. Głosem spokojnym, lecz z okiem rozplomienionym odpowiedział:

— Jestem człowiek!

Kozak z uśmiechem, dzieląc sylaby wyrazów, zażartował:

— *Cze-la-wiek!* Nie małpa? *Cha-ra-szo!* Ale dokąd jedziecie?

— Przed siebie... w świat.

— W świat! *Charaszo!* Ale skąd?

— Ze świata.

Dwa odmienne typy, dwie rasy, dwie różne, lecz równe sobie młodzieńcze urody. U obu wzrastało, coraz goręcej kipiało to, co starzy Latyni wyrazili w przysłowiu: *homo homini lupus est*. Oczy ich, jak sztyletami pojedynkujące się spojrzeniami, nabierały połysków wilczych.

— Ze świata? Nie; nie ze świata, ale od *mia-tież-nikow...* od *mia-tieżni-kow*, do których jeździliście z ostrzeżeniem...

Mówił z wolna, dzielił sylaby wyrazów, słowa syczały mu w ustach, których uśmiech urągał, wyzywał.

— Tak — odpowiedział tamten — to prawda. Byłem w obozie powstańców i stamtąd jadę.

Słowa te wypadły mu z piersi od burzy uczuć wzdętej; szafirowe czy, roziskrzzone, patrzyły prosto w stronę przeciwnika.

W tejsze chwili zbliżył się ku niemu dowódca roty pieszej i ze zjeżonymi brwiami przemówił:

— Jesteście aresztowani! Zsiądźcie z konia!

Miał na rozkaz ich zsiąść z konia! O! Gdyby broń w ręku lub pod ręką, toby w nich naprzód... potem w siebie... Nie miał broni... i był jeńcem.

Kiedy zeskoczywszy z konia gestem poźegnalnym kładł dłoń na jego szyję, usłyszał słowa powoli i ze świstem z ust kozackiego setnika wychodzące.

— *Cha-raszo!* Znacie drogę do *mia-tież-nikow*, to i nam ją pokażecie. Usiądźcie na pierwszym wozie i drogę pokazujcie!

Jeniec odwrócił się i znowu w twarzy Kozaka wzrok zatopił. Nie wyglądał teraz wcale na wesołego Olesia. Błady jak płótno, czoło miał zmarszczone i wargi drżące. Tymi drżącymi, zbladłymi wargami, głosem od wzburzenia więznącym w gardle wymówił:

— Zabić mnie możecie, ale nie macie prawa lżyć mię przypuszczeniem, że mogę zostać zdrajcą.

Czy złudzenie to było, czy rzeczywiście usłyszał, że kapitan roty pieszej cicho pod najeżonym wąsem mruknął:

— *Maładiec!*

A na czarne oczy setnika kozackiego z wolna ciemne powieki opadły i z ustami, których piękna linia wykrzywiła się w uśmiech niby drwiący, niby zmieszany, chyżego konia swego zawróciwszy, pomknął na nim szeroką drogą ku nadciągającym wozom.

Na tę drogę wszedł również, z konia zsiadłszy, plecysty kapitan i obok jeńca, przed żołnierzami, którzy dwa konie prowadzili postępując, wciąż ku niemu twarz obracał. Nie

mówił nic, tylko co chwilę na niego spoglądał, odwracał się i znowu spoglądał; brwi i wąsy jego stawały się mniej najeżone, zarys ust mniej twardy...

I nie było wcale złudzeniem to, co spod rudawych wąsów cichym pomrukiem wyszło.

— Ach, *bezumcy... miecztateli... nieszczęstnyja żertwy!*...

Doszli do wyciągniętego na drodze taboru wozów. Kapitan oczyma po wozach powiódł i jeden z nich wskazał jeńcowi. Siedziało na nim paru żołnierzy.

Twarz swą grubą i rumianą, od upału spotniałą nad jeńcem pochylając szepnął:

— *Osteregajties!* Nie *razdrażajtie* ich... bo... może być bieda!

Ostatnie słowa wymówił po polsku.

### III

Drogą dość szeroką, lecz najeżoną korzeniami drzew starych, tworzącymi sieć grubych i twardych garbów, powoli i ciężko posuwał się tabor złożony z kilkudziesięciu wozów napełnionych żołnierzami. Przed każdym z żołnierzy sterczał na pogotowiu w rękach trzymany karabin z wprawionym weń bagnietem. Na pierwszym z wozów jechali dwaj chłopcy ponurzy i milczący; przewodnicy po tym ogromnym, pełnym dróg, drożyn, zarośli, ciemności, labiryntu leśnym. Postrach, zapłata hojna, może instynkty jakieś nienawistne czy zawistne, w momentach burz budzące się jak wichry, umieściły ich na tym przewodniczącym wozie.

Z przodu, z tyłu, po bokach jechali Kozacy pikami strącając z drzew deszcze liści i niekiedy wbiegając do lasu, gdzie kopyta koni ich krzeszały z suchych mchów i gałęzi grady krótkich trzasków, a ozdoby ubrań migotały wśród zieleni jak biegające po niej czerwone plamy.

Znad wozów razem z turkotem kół głucho i często o korzenie drzew stukających podnosił się przyciszony pogwar głosów ludzkich. Czy przyciszał go rozkaz przez dowódcę wydany lub tłumili pracujące w tych licznych piersiach niepewności i grozy tego lasu? Trudno wiedzieć, ale podobne to było do groźnego i zarazem trwożnego pomruku zwierza, który idzie na łup i rozgląda się, czy nie zobaczy myśliwców. Myśliwcy ukrywać się tu mogli za każdym zakrętem drogi, za każdą firanką zarośli, w każdym z niezliczonych cieniów, które wśród drzew wysokich stały jak czarne olbrzymy, gdzieniegdzie złotymi strzałami od słońca przebijane.

Las nabierał coraz wyższego, ściślejszego podszycia i listowia, droga z nieznacznym skłonem w dół opadająca stawała się wilgotna. Zniknęła z jej powierzchni garbata sieć korzeni, ukazały się natomiast wyżłobienia w różnych kierunkach poczynione przez wody, które wiosną musiały tu rozlewać się szeroko, a teraz niedobrze jeszcze przez majowe ciepła osuszone gdzieniegdzie szklily się w długich brzdach i dość głębokich wądołach.

Wyraźnym było zbliżanie się do gruntów niskich, mokrych, które mniej niż inne sprzyjają roślinności wzwyż bujającej, lecz za to z hojnością ogromną udzielają życia jej tworom niższego wzrostu. Drzewa stawały się rzadsze, niższe, cieńsze, pokrzywione, sękami osiadłe, czernią jakąś powleczone, natomiast z obu stron drogi powstawały nie już jak gdzie indziej zarośla przezroczyście, na wyłomy porozrywane, lecz nieprzerwane i gęste natłoki krzaków i karłowatych czy niedorosłych drzewin.

Wóz przewodniczący skręcił w bok i opuszczając szeroką drogę wjechał na groblę wąską, z dwu stron głębokimi rowami obrzeżoną. W rowach stała woda biaława, zielonawą pleśnią gdzieniegdzie powleczone; za rowami wznosiły się ściany zarośli, u góry w niezliczone nierówności postrzępione, lecz od dołu przedstawiające powierzchnię ściśliwą, gęsto z prętów, gałęzi i niezliczonego listowia zbitą i splątaną.

Były to nieprzejrzane szeregi i tłumy leszczyn, malin, kalin, jeżyn, małych wierzb, olszyn i osin, bżów dzikich, łóz, sitowia, olbrzymich ajerów i kosaćców, jakichś traw wysokich i rozczochranych, jakichś pasożytnych palców i wieńców, które to wszystko oplatały, a z tych powikłań i uplotów, z całej tej gęstwiny linii i kształtów o tysiącnych kierunkach i formach, w górze i w dole wychylały się białe baldachy bżów dzikich, lilowe kielichy kosaćców, żółtawe gwiazdy jakichś roślin bagiennych, mętnością barwy oznajmiające zbliżające się królestwo martwych wód i grząskich topielisk. Słońce rzucało na te ściany zielone i ukwiecone pozłotę dla oczu przykrą i olśniewającą, wśród której wąski szlak grobli przypominał czarnego węża, który by na słońcu wygrzewał pogarbio-

ną i gdzieś mętnie połyskującą skórę. Mętnymi połyskami świeciła woda stojąca w wyżłobieniach i koleinach grobli.

Gdy wozy tabor składające wjechały na groblę, unoszący się nad nimi pogwar głosów umilkł i słychać było tylko nie turkot, ale szum kół bardzo powoli przesuwających się po rozmiękłym gruncie, czasem kłapanie wody pod kopytami koni, czasem na jednym z wozów wykrzyk pijany, lecz krótki. Z głów żołnierzy nie ulotniły się jeszcze całkowicie opary wódki w godzinach porannych z kuf owych we dworze wypitej, lecz miejsce, w którym się znaleźli, głuchym niepokojem czy niewyraźnym przeczuciem pozamykało im usta i w zamian szeroko pootwierało oczy.

Kapitan wyjechał na czoło taboru i słychać było, jak z ponurymi przewodnikami zamieniał słowa groźbą brzmiące, to znowu w znaki zapytań zagięte. Oni odpowiadali:

— Inaczej jechać nie można. Innej drogi do nich nie ma. Jest kędyś inna, ale jeszcze gorsza i... dalsza...

Na wielkim, ciężkim koniu, sam ciężki i ponury, powracał oficer wzdłuż taboru i wzrok jego upadł na siedzącego wśród żołnierzy młodego jeńca. Zawrócił konia i obok wozu tego jechać zaczął.

Wtem stało się coś tak przeraźliwego jak piorun lub nagła śmierć. We wznoszących się po obu stronach grobli ścianach zielonych rozległ się grzmot wystrzałów i wypadły z nich roje ognistych błyskawic. Spomiędzy jadących na czele Kozaków paru spadło z koni, pod paru innymi konie upadły, na wozach też widać było ciężkie postacie, walące się na wznak i broń z rąk wypuszczające.

Zasadzka; jeden z najstraszniejszych środków przysługujących wojnom partyzanckim.

Na wąskiej grobli powstał ruch pełen zamętu i podniosła się wrzawa pełna krzyków.

Żołnierze zeskakiwali z wozów i bez ładu, zarówno jak bez widzialnego celu, strzelali do zarośli; przestraszone konie skręcały wozy, które stając w poprzek drogi lub w połowie wywracając się do rowów, czyniły niemożliwym jakiekolwiek formowanie się żołnierzy w szeregi lub oddziały; gibcy Kozacy na chyżych swych koniach przeskakiwali rowy i usiłowali wdzierać się w gęstwiny, które stawiały opór i z których co minutę nowym grzmotem i z nowymi błyskawicami wypadał rój pocisków; ciała ludzkie pociskami dosięgnięte padały na rozmokłą ziemię grobli, na koła i brzegi wozów, pod kopyta rozszalałych koni, do wody, napelniającej rowy. Powietrze napelniło się wrzawą ludzką i zwierzęcą, gromami i grzmotami strzałów, kłębamii prochowego dymu.

Wśród piekielnego tego zgzielku i zamętu kapitan z wielką przytomnością i odwagą głosem i ruchami usiłował w tę dziwną walkę wlać ducha porządku i jedności. Ale potężny głos jego, wyrzucający z szerokiej piersi słowa komendy, zatapiał się we wrzawie, a formowane przez niego szeregi i oddziały wnet chwiały się i rozpraszały, rażone z przodu i z tyłu, zza obu ścian zarośli ukrywających wroga. Zziębnięty koń jego za wielki był i za ciężki do obracania się na przestrzeni wąskiej, wśród beładnego ścisłu ludzi i rzeczy. Parę razy tylne nogi jego ześliznęły się do rowu; parę razy stanął dębem przed nagle upadającym trupem końskim czy ludzkim. Po twarzy kapitana lały się strugi potu, w oczach świeciła rozpacz, kule jak gwizdzące pszczoły latały dokoła głowy jego i ramion. Jedna rozdarła mu rękaw munduru i drasnąc musiała ramię, lecz on nie zdawał się czuć tego ani spostrzegać; z szybkością, na jaką tylko liczne przeszkody pozwalały, pędził ku garści żołnierzy, która plecami odwróciwszy się do pola bitwy, poczyniała biec ku początkowi grobli. Zabiegł jej drogę, głosem gromił i błagał, ruchami pałasza zachęcał i napędzał, aż powróciła, aby zwiększyć na grobli zamęt ciał i huk wystrzałów, ku niewidzialnym celom kierowanych.

Część Kozaków, pod wodzą setnika przeskoczywszy rowy, zdołała przedrzeć się w zarośla i słychać tam było wściekle krzyki, zgęszczone strzały, z trzaskiem pękające pod naporem końskich piersi gałęzie drzewne czy pod końskimi kopytami kości ludzkie.

Nie trwało to wszystko jeszcze nad ćwierć godziny, a już wodę w rowach stojącą i trawę nad rowami tu i ówdzie zabarwiła krwawa czerwoność.

Aleksander stał na wozie, u którego dyszla z szyją ruchem męczeńskim wykręconą leżał zabity koń. Bezbronne ręce zaciskał około jakichś sterczących na wozie przedmiotów i cały naprzód podany, wzrok szeroko rozwartych oczu wyteżał ku zięjącym kulami i ogniem zaroślom. Zdawać się mogło, że dusza z niego wyszła i znajdowała się po tamtej stronie zielonej ściany, pomiędzy tymi, których kule lada chwilę zadać mu mogły

śmierć. Nie było takiej sekundy, w której by nie mógł zginąć i... myśl okropna! — zginąć z rąk, które kochał. Czy myśl ta przechodziła mu przez głowę, dokoła której ze świadem i gwizdem przelatowały kule? Czy może nie miał w głowie żadnej wyraźnej myśli oprócz tej jednej, palącej, że nie jest, że nie może być tam... z nimi? Sam nigdy w przyszłości sprawy przed sobą zdać nie mógł. Ale co chwila pot zimny oblewał mu czoło i oddech zatrzymywał się w piersi w oczekiwaniu czegoś niewyraźnego, niepojętego... wyjścia ich może zza tej ściany, która ich zasłaniała, skrzydeł może, które by jego do nich przez tę ścianę przeniosły, śmierci może. Nagle zadrżał od stóp do głowy i trzęsącymi się wargami krzyknął:

— Apolek!

Z obląkanymi prawie pobłyskami oczu wpatrywał się w młodzieńca, który ruchem gibkim wypadł spomiędzy zarośli i u stóp ich na jedno kolano przykląkszy, ze strzelbą do oka przyłożoną strzelać począł. Zuchwały ten rycerzyk, w zapale młodzieńczym nie dość zapewne rozkazom wodza posłuszny, zapragnął może spotkać się oko w oko z tymi, z którymi walczył, dokonać wiele, dokazać więcej od innych. Wyskoczył zza osłony, na jedno kolano ukląkł, strzelał... karmazynowa konfederatka zsuwała się mu z ciemnych włosów odsłaniając gładkie i ogorzałe czoło, oczy nieco zmrużone napępiała uwaga wytężona, a na usta pod drobnym wąsem wystrzeliwał uśmiech niemal chłopięcej przekory. Nagle zawołał:

— Oleś! A ty tu skąd?

Dostrzegł stojącego na wozie jeńca, lecz natychmiast o nim zapomniał, znowu ze strzelbą do oka przyłożoną mierzył, strzelał, aż stała się z nim rzecz jak piorun szybka i śmiertelna.

Z zarośli wypadł setnik kozacki na koniu, z którego uda krew ciekła i którego już wspinał, aby rów z powrotem na groblę przeskoczyć, gdy zuchwały rycerzyk w karmazynowej czapce zmierzył do niego, wystrzelił i — Kozak, w pierś kulą ugodzony, spadł z konia, rozciągnął się u stóp zarośli. A w chwilę potem tak krótką, że w niej powieka ludzka zaledwie mrugnąć by zdołała, z grobli na drugą stronę rowu przeleciała kula inna i utkwiała w czole rycerzyka, który padł także...

Wówczas Aleksander uczuł na twarzy gorący oddech konia, a tuż przy uchu jego zaszemrał ciężki szept kapitana:

— *Kto eto? Kto eto?*

Stał na koniu błąd jak kreda i palcem na zabitego powstańca wskazując, z obląkanymi prawie oczyma młodego jeńca zapytywał:

— Apolek? *Razwie eto Apolek? Apolek?*

— Tak, Apolek.

Dwie piersi: oficera i jeńca szybko, z głuchymi jękami dyszały.

— Karłowickij?

— Karłowicki.

— *Bob moj!* — krzyknął kapitan i był to krzyk przerażenia, bólu, nie wiedzieć jeszcze jakiego uczucia, ale które piersi rozrywało.

U stóp zarośli, u brzegu mętnie połyskującej wody, leżeli niedaleko siebie na zielonej trawie rozciągnięci dwaj urodziwi młodzieńcy, jeden czerwonym, drugi czarnym pasem przepasani jeden z rozdartą i skrwawioną odzieżą na piersi, drugi z czarną i sznurek krwi sączącą plamą pośród czoła. Głowy ich okryte były czarnymi i ciemnymi włosy, a czapki daleko na zieloną trawę odrzucone dwoma różnymi odcieniami czerwoności iskrzyły się w słonecznym świetle. I przeglądało się iskrą nieruchomą światło słoneczne w szkle martwych ich oczu...

\*

## IV

Od dnia klęski, którą w lasach poleskich poniósł oddział pieszego i konnego wojska, od dnia, w którym wspólnie z kilku towarzyszami poległ w bitwie Apolek Karłowicki, a Aleksander Awicz do więzienia znajdującego się w mieście najbliższym przez resztkę pobitego wojska odwieziony został, kilka tygodni upłynęło.

Na świecie był już lipiec upalny i duszny. Na szerokie pola kładły się pod ścinającym je sierpem obfite zboża i płynęły szelesty złotej słomy. W rzekach, jeziorach, strumieniach leśnych i brodach łąkowych wysychały wody; nad złotymi polami, nad żółknącymi w upale łąkami, nad lasami stojącymi w kamiennych ciszach, szerokie koła pod wyiskrzonym sklepieniem nieba zataczały uczące się latać bociany.

Trzypiętrowy gmach więzienny wznosił się nad niskimi domkami miasteczka, jak wszystkie więzienne gmachy ponury, nagi, szerniały, zamknięty. U dołu jego, na dziedzińcach i na piętrach niższych rozlegały się czasem hałasy, krzyki, rozmowy, szczęki broni, lecz okna rzędu najwyższego, pod czerwonymi gzymsami dachu zdawały się przez otwory krat żelaznych oddychać milczeniem i samotnością.

Im wyżej, tym samotniej. Nie dochodziły tam z dziedzińców i pięter niższych żadne głosy ludzkie i nie dochodził mały, uliczny gwar miasteczka. Czasem tylko słychać było krótkie rozmowy zmieniających się szyldwachów, wlokące się kroki dozorców lub zgrzyty kluczy obracanych w zamkach otwieranych i zamykanych cel. Im wyżej, tym piękniej. Z tych okien wysoko wzbitych nad ziemię wzrok mógł dostrzegać trochę złotego pola, które miasteczko otaczało, pasek lasu za polem i w południe czarne sylwetki bocianów zataczające pod niebieskim błękitem szerokie koła. Bociany z oddala znacznego wydawały się bardzo małe: w zamian wielka zawsze twarz słoneczna co wieczora po skłonie nieba spływała za pasek lasu i zapalały się potem nad nim zorze wieczorne.

Im wyżej, tym smutniej. Na skrawek przestrzeni wolnej, na ptaki skrzydlate, na niebo i światło niebieskie patrząc, te wysoko usadzone okna więzienne zdawały się być oczyma nalany czarnością nocy.

Za jednym z tych okien, w izbie więziennej jak wszystkie więzienne izby ciasnej, niskiej, szerniałej i ponurej, Aleksander Awicz siedział pod ścianą na wąskim zydlu i czytał. Przed niewiele dniami posiadał pozwolenie otrzymania z zewnątrz kilku książek i nie wiedział zupełnie, czemu lub komu tę ulgę w losie swym miał przypisać.

Bo aż do tych dni ostatnich surowość postępowania z nim równa była ciężkości jego przewinienia. Za jego to właściwie sprawą wojsko poniosło klęskę od ostrzeżonych przed nim powstańców, czyn ten stwierdził własnym wyznaniem, samemu w lesie uczynionym i po kilkakroć już powtórzonym przed obliczem komisji śledczej. I zachowanie się jego przed tym zbiorowym obliczem do łagodności skłaniać nie mogło. Na mnóstwo zadawanych mu zapytań nie miał nigdy odpowiedzi żadnej oprócz stałego potwierdzenia czynu, którego dokonał sam. Należał do najodporniejszych, najtwardszych. Do najmniej mównych także, bo czuł, że gdy raz otworzy usta, wszak znowu jak płomień zagorzeć może w uniesieniu takim, z jakim setnikowi kozackiemu rzucił swoje wyznanie.

Zniósł wiele — i cierpienie przeciągnęło po nim swój rytec i swój pędzel. Schudł i spłowiło mu na twarzy męskiej jej przedtem zabarwienie. Na czole wryły mu swe blade piętno dni głuche i noce bezsenne, w oczach odbiła się tęsknota otoczona wspomnieniami i ustępująca tylko przed niepokojem pełnym grobowych widm. Jednak z młodzieńczych tych oczu blask i ogień nie znikły i na pobladle usta przypomnienia rzeczy minionych sprowadzały niekiedy uśmiechy, z których lada promień życia wykrzesać mógł dawny śmiech wesoły i pusty. Ale wysubtelniał i wyduchowiał. W wyszczuplonym ciele czuć było jakąś sprężynę, która wyprostowywała je dumnie i jakąś pieśń z nutą smętną, lecz wzbijającą się wysoko.

Przez małą, otwartą w oknie szybkę powiał wiatr i z lekka poruszać mu zaczął na głowie ciemnopłowe włosy. Jakby ręka jakaś opuściła mu na głowę orzeźwiająca pieszczotę, jakby coś z zewnątrz na niego zawołało. Książka wypadła mu z ręki. Porwał się, prawie swawolnym ruchem dawnego Olesia na zydel wskoczył, przy oknie stanął, przez otwartą szybkę patrzeć zaczął. Patrzył na zawieszoną nad dalekim paskiem lasu twarz słońca, ogromną i jaskrawą, na szmat złotego pola, po którym na kształt czarnych kropel roily się małe z oddalenia istotki i głęboka bruzda cierpienia przerznięła mu czoło.

W tej chwili w ogromnym zamku zazgrzytał klucz i zza drzwi nieco uchylonych basowy głos męski zapytał:

— *Pozwalajecie?*

Ze zdziwieniem więzień spojrział na tego grzecznego gościa, który przed wejściem do celi więziennej o pozwolenie wejścia do niej prosił.

Był nim oficer dość wysoki, barczysty i ciężki, z twarzą grubą, choć dość kształtną, z czołem od rumianych policzków bielszym i rudawymi nad nim włosami. Srebrna, wąska taśma z zawieszonym na niej pałaszem ukośną linią przepasywała mu piersi i plecy okryte obcisłym mundurem.

Cela była ciasna; drzwi jej znajdowały się o kilka kroków od okna, u którego, z zydła zeskoczywszy, stał Awicz. Oficer zatrzymał się o krok jeden przed drzwiami, które zamknęły się za nim i znowu kluczem obracającym w zamku zazgrzytały.

— Nie chciałbym mieszać — zaczął — i jeżeli *nie w czas* przychodzę...

Mówił niezmiernie zepsutą polszczyzną.

— Owszem — wahającym się głosem i wpatrując się w gościa odpowiedział więzień.

— Wszakże to pan był... tam... z wojskiem?... Czy może myłę się?

Nie odpowiadając na pytanie, gość spod rudego wąsa mrukliwie wymówił:

— Mam honor rekomendować się: Apolinary Karłowicki.

— Karłowicki?... Apolinary? — z ruchem najwyższego zdziwienia zawołał więzień.

Skłonił się oficer.

— I Karłowicki, i Apolinary. Dziwi się pan... *nu*, różne *śluczaje* na świecie bywają...

— Krewny może biednego Apolka?

Oficer ręką po białym czole powiódł.

— To był mój stryjeczny brat. Jego ojciec i mój ojciec byli *rodnymi* braćmi.

W celi oprócz wąskiego zydła przy ścianie, którego jeden koniec więzienną pościelą okryty naśladował łóżko, znajdował się jeszcze stółek drewniany i krzywy, brudny, z popękanych desek zbity stół. Oficer postawił stółek przy krzywym stole i usiadł.

— Ja przyszedł, aby z panem o nim pomówić... ja tego chłopca lubił... on mnie był *dorog*... ja dziś tu w więzieniu cały dzień dyżurnym... więc pomyślał sobie: pójdę, rozpytam się o niego... kiedy? jakim sposobem? bo ja nigdy nie spodziewał się... On w Moskwie uczył się. Dwa lata uczył się tam i do starszego brata na święta wielkanocne pojechał. *Nu da!* Jak pojechał, tak i nie powrócił. Oni tu swój majątek gdzieś mają... więc pan jego pewno znalazł? Czy pan jego znalazł?

— Z bliska, mieszkaliśmy w sąsiedztwie niedalekim.

— *Da! da!* Jak tylko mnie pan tam... w *lesu*, swoje nazwisko powiedział, ja zaraz przypomniał sobie, że gdzieś je słyszał, a potem i to przypomniał, że od Apolka słyszał... On mnie wszystko opowiadał, jak dzieckiem był, kogo znał, z kim bawił się... Ach, *nieszczęstny!* jak on tam popadł? Kto jego namówił? Taki młody... *i dobr!* Ach, *dobr!* *Kakoję u niewo było dobroję, czystoję, dietskoję sierdce!*

Zwiesił głowę i żalność głęboka rozlała się mu po twarzy. Przy tym widać było, że w chwili wzruszenia na usta jego ciśnie się mowa, do której przywykł i w której był biegły. Podniósł po chwili głowę i spotkał się oczyma z utkwionym w niego zdziwionym wzrokiem więźnia. Iskra gniewu zamigotała mu w chmurnych oczach.

— Pan dziwisz się? Czego dziwić się? Dlaczegoż to Apolek bratem moim być nie mógł. Na świecie różne *śluczaje* bywają. Ot, dwóch *rodných* braci było, daleko od siebie mieszkali. Jeden został się przy majątku, a drugi go stracił i jak stracił, na służbę poszedł... w *twierskiej* guberni służył. *Nu da!* Tak Apolek był syn jednego brata, a ja był syn drugiego... *dieduszka* nasz miał imię Apolinary i nas obydwóch tak nazwali. Ale stryja ja nie znał, bo *on rano* umarł i ja do tego czasu nigdy tu nie przyjeżdżał, a teraz *uwy!* ze swoim pułkiem przyjechał, żeby *miatież* uspokajać. I oto co zobaczył! Apolka zabitego zobaczył... chłopca, mego miłego brata!

Przywiązanie do poległego powstańca, dziwne jakoś w grubym człowieku tym, tkliwie ujmowało młodego więźnia i zaciekał go ten oficer z naturą, jak się zdawało, dość złożoną. Zapytał, jakim sposobem mógł tak z bliska znać stryjecznego brata, skoro nigdy dotąd w kraju nie był. Oficer z pośpiechem odpowiedział:

— Już mówił, że on dwa lata był w Moskwie, a ja tam wtedy z pułkiem stał. *Nu wot* my gdzieś się spotkali... jedno nazwisko... pyta się on mnie, czy nie krewny! A ja już wiedział, kto on, i mówię: „Ja wasz stryjeczny brat”. Tak on, *sierdiecznyj*, za szyję mnie objął...

Zatrząsał mu się głos w gardle, grubym kołnierzem munduru otoczonym.

— Familii ja nie mam, nikogo swego na *swietie* nie mam... krew odezwała się... polubił brata... I jak nie polubić? Taki dobry, *sierdieczny* chłopak. I *krasawiec* że on był! I on mnie



polubił, choć czasem i *sierdził* się na mnie, *nu tam*, za różne głupstwa, ale zawsze potem przychodził i mówił... „Ty biedny... co ty winien...”

Zamilkł, ramieniem uczynił gest rozpaczny.

— Co tam już gadać! Co opowiadać. Minęło, *propato!* Już jego na świecie nie ma... Ale...

Wyprostował się, chmurne jego oczy z wyrazem prośby utkwily w twarzy więźnia.

— Ale teraz ja przyszedł pana prosić, żeby pan mnie wszystko o nim opowiedział: jak się to stało? Jak do tego przyszło? Kto go namówił?

Opowiadanie było krótkie. Nikt go nie namawiał i przyszło do tego w sposób prosty. Chłopak był żywy, szlachetny, kochał kraj, kochał ideę, uniósł go ten prąd, który unosił innych.

Oficer słuchał z głową spuszczoną, w ziemię patrząc.

— *Głupost!* — sarknął.

— Co jest *głupostią?* — uśmiechnął się Awicz.

— *A wot*, te wszystkie wasze idee i *prądy!*

— Wiele by o tym mówić — z nowym uśmiechem rzucił więzień.

— Ja i chciałby z panem wiele o tym pomówić... chciałby bardzo... Nu, ale to później, kiedy ja tu inszego dnia przyjdę... a teraz ot, co ja jeszcze chcę panu powiedzieć...

Dłonie na kolanach oparł, łokcie z fantazją nieco rozstawił; do chmurnych oczu jego zablądził nikły uśmiech.

— Ja nie tylko dlatego tu przyszedł, aby o Apolka rozpytać się, ale i dlatego także, *nu da!* dlatego, żeby się poznać z panem... wy mnie tam w lesie podobali się... Na koniu jeździcie jak wojenny człowiek i *wot*, śmiało wy wtedy w oczy kozackiemu *setnikowi* patrzyli; jak on wam tę *gadkę nizost'* powiedział, to u was iskry posypały się z oczu i odpowiedzieliście jemu dobrze! Nu, i odwaga to była! Z gołymi rękami pomiędzy *sztykami* i pikami! Ja wtedy pomyślał sobie: *maładiec!*

— I nawet powiedział to pan, słyszałem — z wytryskującą na twarz wesołością zaśmiał się więzień.

— *Nieużeli tak?* Powiedział? Nu, może i powiedział. Mnie wtedy wszystko we środku przewracało się, a jak we mnie wszystko we środku przewraca się, to ja wtedy czasem sam do siebie gadam.

Śmiał się. Śmieli się obydwaj.

— A czegoż panu wtedy wszystko przewracało się we środku?

Uczynił gest niechęci, sposepniął znowu.

— Długo by o tym gadać. Może kiedykolwiek później, jak inszego dnia przyjdę. Ale teraz powiem jedną rzecz, żeby pana pocieszyć! Ja widział, że pan konie lubisz i tego, na którym pan jechałeś, oczyma przeprowadzałeś na pożegnanie, tak jakbyś z przyjacielem żegnał się. To piękny koń i bestia rozumny. Ja nie chciałbym, żeby on w złym ręku zmarnował się i dlatego poprosił, żeby jego mnie oddali. Tamten mój stary już był i za ciężki. *Nu, da!* Ten koń u mnie jest teraz i ja mogę pana pocieszyć, że on zdrow i że ja z nim obchodzę się jak z dzieckiem.

Więźniowi rzeczywiście oczy paliły się z radości.

— Mój Piorun! myślałem, że zabity albo że go męczą, głodzą... Dziękuję panu i za dobre dla niego chęci, i za miłą o nim nowinę. Lubilem... nie! kochałem to piękne, rozumne zwierzę, w ogóle przepadam za końmi!

— To tak jak ja! — zawołał oficer. — Od dzieciństwa za końmi przepadałem i choć my z nieboszczykiem ojcem w miasteczku mieszkali, to małym będąc zawsze *adnakoż* choć szkapy jakiej dopadnę i lecę na niej na miasteczko na złamanie karku, tylko że u nas w pieszych pułkach oficerskie konie nietęgile! Ot ten pański... jak on nazywa się? Piorun? Dobrze, ja będę go tak nazywać... takie rozumne zwierzę przywyka do swego... jak to powiedzieć.

— Imienia!

— *Da, da!* I jak na niego zawołać tym *imionem*, do którego przywykł, to głowę odwraca albo jak dziecko za człowiekiem idzie. Ten pański Piorun to krwi *angliczańskiej* koń, prawda?

— Półkrwi — odparł więzień.

— Takie czasem najlepsze.

Przez kilka minut rozmawiali o różnych rasach koni, ich przymiotach i przywarach. Ożywili się obaj. Więzień zaśmiał się raz głośno i wesoło; oficer zmienił się do niepoznania w tej poufalej gawędzie o przedmiocie wspólnie ulubionym. Zaczął już nawet z mniejszą niż przedtem trudnością mówić po polsku i czasem zatrzymując się wśród mówienia zapytywał: jak to powiedzieć?...

— Przepraszam pana, że zapytam — zaczął więzień — ale chciałbym wiedzieć, gdzie się pan urodził.

— Gdzie ja urodził się? W majątku ojca, w wileńskiej guberni, ale cztery lata miał, kiedy ojcu ten majątek za długi sprzedali i on zaczął o służbę starać się. Służbę prędko on znalazł, ale aż w *twierskiej* guberni! I my tam wyjeżdżali, kiedy ja pięciu lat jeszcze nie miał. Ale dlaczego pan mnie o to pytał się...

— Tak... — z wahaniem odpowiadał Awicz. — Mówić... pan zapomniał!...

Oficer ręką machnął.

— Ech! Jak ja dzieckiem był, to w domu zawsze po polsku mówił, ale jedenaście lat miał, kiedy do korpusu ojciec oddał... Już on wtedy, przyznać się, troszkę pił i był bardzo biedny, a w korpusie na rządowy *szczot* nic nie kosztowało... Tak ja tam i zapomniał... a potem gdzie było przypominać? Jak z Apolkiem często widywał się, to troszkę sobie przypomniał, bo on inaczej jak *na swoim rodzym* języku rozmawiać nie chciał...

— Jak to swoim, czy i nie pańskim także? Chyba matka... przepraszam, że jeszcze zapytam, kim była matka pańska?

— Jak to kim?

— Jakiej narodowości?

— *Narodnosti*? Jakiejże ona mogła być? Tak samo w wileńskiej guberni urodziła się... Polka...

Wpół śmiejąc się, wpół z przykrym uczuciem Awicz zawołał:

— Ano to pan z pochodzenia jest Polakiem całkowitym!...

Sposepniał znowu oficer.

— *Z praischożdienja da... no, co znaczy praischożdienje?* Ot, powiem panu, że ja, nim tu z wojskiem przyjechał, nigdy o takich rzeczach nie myślał. Nie przywykł. A jeżeli kiedy i pomyślał, to zawsze tylko tyle, że takie rzeczy *polno niczewo* nie znaczą. I teraz dopiero ja zaczął o nich myśleć... i zaczęło mnie zdawać się, że one coś znaczą.

Spojrzał na zegarek.

— *Adnakoż* mnie pora! Zasiadzał się ja u pana. Czy pan pozwolił mi czasem przychodzić? *Sympatju* ja mam do pana i bardzo pana żałuję.

Rozejrzał się po celi.

— Smutno tu siedzieć... samemu... w niewygodach? a?

— Niewesoło. Ale teraz mniej smutno, bo książki czytać pozwolili i nawet nie wiem, skąd ta łaska.

Dziwny uśmiech przewinął się po zmarkotniałej już przedtem twarzy oficera. Było w nim figlarności trochę i wewnętrzznego triumfu, które jednak prędko zgasły. Na książkę leżącą na zydłu spojrzął.

— Ja czytać nie przywykł... ale temu, kto przywykł...

— Temu, kto przywykł — podjął Awicz — książka dawać może chwile szczęścia w nieszczęściu...

— Nu, to dobrze, że pan ją teraz masz!

Podniósł się ze stolka. Westchnął.

— Nie chce się iść! Niby to pan zamknięty siedzisz, a ja po wolnym świecie chodzę, a *adnakoż* może panu... jak to powiedzieć... może panu i nie gorzej niż mnie. Bo jaki to świat? Brzydki, podły świat... krew ludzka na nim się leje... ludzie jedni drugich nienawidzą... I najgorsze to, że człowiek sam siebie nie rozumie i czasem sam na siebie chciałby plunąć... To i nie chce się czasem po tym świecie chodzić!

Głębokie, gnębiące cierpienie rozlało się mu po twarzy.

— To przyjdź pan znowu kiedykolwiek, skoro ta moja nora tak się panu podobała — uprzejmie rzekł Awicz.

— *Przyjdu*... mnie można do pana przychodzić. Nikomu nie można, a mnie można...

— Dlaczegoż to?

Oficer zniżył głos.

— Plecy, widzisz pan, mam! *Wot*, dlaczego.

— Jak to plecy? Co to?

— *Wot* takie plecy, co mnie od wszystkiego bronią... Mnie dlatego i po tym nie-  
szczęściu w lesie z *rotnazwo komandirstwa* nie zrzucili. Drugi by tak poleciał, że jej! A  
mnie *on* bronił, przez to ja i do pana przychodzić mogę, kiedy tylko zechcę...

O krok jeden stał przed Awiczem, w postawie wahającej się, z wyrazem zmieszania  
na twarzy.

— I sam nie wiem — zaczął — czy mogę panu rękę podać, czy nie mogę?

Awicz podał mu rękę, którą dłoń oficera objęła silnym, trochę drżącym uściskiem.  
Coś na kształt uszanowania i rozczulonej nieśmiałości odmalowało się w tej chwili na  
jego twarzy.

Odchodził. U drzwi odwrócił się jeszcze.

— Wiesz pan co?... Ja myśleć sobie zaczynam, że *adnakoż* takie rzeczy *musi być* wie-  
le znaczą. Idziesz z wojskiem na *miatieżnikow* i *głaz na głaz* spotykasz się z bratem...  
z bratem, którego jak swoje życie lubisz. I twego brata zabija to wojsko, któremu ty sam  
zakomenderował: strzelać! *Wot*, co takie rzeczy...

Głos mu się w gardle załamał. Szybkim ruchem obrócił się ku drzwiom i z twarzą  
przyłożoną do znajdującego się w nich okrągłego otworu krzyknął:

— *Atwarit!*

Brzmienie okrzyku tego było znowu grube, twarde, ostre i przypominało Awiczowi  
kapitana wykrzykującego słowa komendy na owej grobli.

Nie dziw, że w sposób taki znowu przemawiać zaczynał, wszakże z tej celi więziennej  
wychodził na świat wolny!

## V

Parę dni minęło i znowu w porze niezwyklej ciężki klucz zazgrzytał w grubym zamku, ale  
tym razem za otwierającymi się drzwiami głos kobiety młody i świeży spytał:

— Czy można?

Ach, Tosi głos!

Aleksander jednym skokiem był już przy drzwiach.

— Ciotko! Ciotko droga! Najmilsza! Złota!

Całował ręce siwej kobiety w czarnej sukni, a potem obie swoje wyciągnął ku pięk-  
nej dziewczynie, której błękitne oczy stały w blasku radości i łez. Z tymi błyszczącymi  
oczyma i filuternym uśmiechem na twarzy bledszej i chudszej niż przedtem, z rękoma  
uwięzionymi w jego rękach, mówiła:

— Widzisz, Olesiu, widzisz! Musiałeś jak zając jednym okiem spać na koniu, bo  
wpadłeś im w ręce!

Po czym z oczu jej wypłynęły łzy, które je tak błyszczącymi czyniły i wtedy można  
było poznać, że wiele przez tygodnie ostatnie płakała.

Ale jakim cudem, jakim cudem przyjąć tu mogły, skoro nikomu nie pozwalają. Tak,  
one same tego nie rozumieją. Odmawiano dotąd i odmawiano pozwolenia na widzenie  
się z więźniem i czyniono to w sposób przykry, szorstki. Nagle zmiękło to, złagodniało  
i pozwolili... na krótko wprawdzie, ale nawet bez świadków. Dość jednak o tym. Tysiące  
rzeczy jest do powiedzenia. Mieszkają teraz w pobliżu tego miasteczka u krewnych, bo  
dwór zrujnowany...

— Jak to zrujnowny?

— W czasie rewizji. — Opowiedziały o niej wszystko.

Otóż dwór razem z majątkiem uległ urzędowemu opisowi, który jest wstępem do  
konfiskaty. Kazano im stamtąd wyjechać. Syn jednej, a brat drugiej uwięziony, nie tutaj,  
gdzie indziej go powieźli, a one tam za nim jechać jeszcze nie mogą...

Teraz matka mówiąc o synu rozplakała się, ale dwoje młodych patrzyło na siebie z nie-  
bem w oczach.

Potem o partii, która rozproszyła się była, lecz wkrótce znowu zgromadziła się kędyś  
dalej, o uwięzionych i zabitych, o wątplych nadziejach, o okropnych trwogach, o całej tej  
tragedii przeraźliwej, której jednak echa do tych ścian nie przenikały.

Z dwu par oczu młodych i zakochanych niebo szczęścia zniknęło, a powróciły do nich ponure trwogi i przesywające żale ziemi ze wszystkich ziem globu najnieszczęśliwszej.

Potem jeszcze: jak ci tu jest? co jadasz? jak sypiasz? czego ci trzeba? Może pozwolą przysłać! Może pozwolą znowu przyjść! Będą do miasteczka przyjeżdżały, będą prosiły... Jak się skończy? Boże miłosierny... jak się to wszystko skończy dla niego, dla nich, dla wszystkich, dla sprawy?

I czas już ubiegł, ostrzegło o tym pukanie do drzwi dozorca.

Wstali wszyscy troje z wąskiego zydła. Matka wzięła za rękę córkę i z lekka ją ku młodemu więźniowi przybliżając, drżącymi wargami mówiła:

— Oddaję ją tobie, Olesiu! Dotąd byłem przeciwna... bo pokrewieństwo bliskie, a małżeństwa pomiędzy krewnymi... podobno... I jeszcze jedno: o czymś innym dla Tosi marzyłam... Każda matka ma dla dziecka swego jakieś marzenia... Widzisz, spowiadam się... Ale teraz, mój Olesiu, kiedyś ty taki nieszczęśliwy i taki dzielny syn ojczyzny... zostańże i moim synem... Gdy tylko będziesz wolny...

Nie mogła mówić dalej od wzruszenia, a oni oboje przed nią klęcząc kolana jej obejmowali.

Dozorca, wciąż do drzwi pukając, słyszał w celi więziennej płacz nie tylko niewieści, lecz, jak mu się zdawało, i męski także.

Odeszły. Więzień pozostał sam. W głowie mu szumiało, w piersi serce jakby wyrosło, tak dławilo łzami co chwila wzbierającymi. Wstyd płakać jak dziecko albo kobieta! Marzajem nigdy nie był. Owszem, był przecież wesołym Olesiem. Ale teraz te kilka tygodni męki różnej, a po nich taka radość...

Czy tylko będzie wolny? W zupełności nie. Wyrok na niego spaść mający mógł być tylko mniej albo więcej srogiej; wolności zupełnej mu nie powrócą. Wiedział o tym, ale wiedział też i o czymś innym, co mu ból wiadomości tamtej niemal w uczucie szczęścia zamieniało. Wiedział, że na żadnej drodze i w żadnej otchłani, w żaden czas burzy i w żaden czas słoty nie opuści go kobieta, którą kochał.

W kilka godzin potem całego w ogniu, w marzeniach, w niepokojach znalazł go wchodzący do celi oficer. Zrazu głowę tylko przez uchylone drzwi wsuwając, zapytał:

— Czy nie *mieszam*?

— Nie! Nie! Nie przeszkadza mi pan w niczym. Proszę wejść! Chciałem nawet zobaczyć się z panem.

Wszedł powitaniem tym wyraźnie uradowany i dość dziwnie na twarzy jego, najczęściej ponurej, wyglądał uśmiech filuterny, z jakim pytał:

— A co? Krewne pańskie były?

— Były, panie, były! Tak cieszę się, że je widziałem i tylko się dziwię...

— Czemu pan się dziwisz?

— Że pozwolili...

Oficer znowu na jednym w celi stołku drewnianym usiadł, dłonie na kolanach oparł i łokcie z fantazją rozstawił.

— Che, che, che — z cicha zaśmiał się — che, che, che!

A siwe oczy jego w rozgorączkowanej twarzy więźnia tkwiące miały w sobie coś jakby opiekuńczego i zarazem dumnego; zdawały się cieszyć jego radością i zarazem mówić: „A widzisz, co ja mogę! A widzisz, jaki ja!”

— *Wot* kiedy już do tego przyszło, to już panu powiem, jak to było.

Na grube drzwi zamknięte niespokojne wejrzenie rzucił i ku Awiczowi pochylony szeptał:

— Tu jest taki człowiek, co na bardzo wysokim *postie* stoi. To mój towarzysz z korpusu i my już w korpusie bardzo jeden drugiego lubili. A potem to ja raz z wielkiego nieszczęścia go wyratowałem. Mniejsza o to, jakie to było nieszczęście i jak ja jego ratowałem, ale choć on na wysokim *postie* stoi i wiele może, a ja mały sobie człowiek, tak było i on nigdy o tym nie zapomniał. On mnie lubi, to mój prawdziwy *drug*...

— To są plecy pańskie i pan się do nich za mną wstawiał...

Potakując głową skinął.

— Ja nawet skłamałem przed nim i powiedział, że pan jesteś mój *plemiannik*.

Aleksander był wzruszony.

— Dziękuję! Nie wiem, czemu przypisać...

— *Nu wot!* Czemu przypisać? Ja pana polubił... *kak to od razu...* jeszcze tam w lesie... pan Apolka znalazł i ja nawet przypomniał sobie, co on mnie o panu mówił...

— Nie, nie! To nie to... — z żywością zaprzeczył więzień. — Pan w ogóle musisz być... Mówiły mi przecież krewnie moje, jakie nieszczęścia stać by się mogły... żeby tam wtedy pana nie było!

— Mówiły, mówiły panu o tym!

Oczy rozbłyły mu uciechą, która jednak prędko zgasła.

— *Nu, da!* Ale co w tym *osobnego?* Zwierzem by chyba trzeba być...

— A jednak — nie bez pewnej ironii przerwał Aleksander — gorliwym pan jesteś w swojej służbie. W czasie rewizji owej sroższy pan był od towarzysza swego i potem, tam... na grobli... sam widziałem, z jaką gorliwością, z jakim zapałem...

Wyprostował się oficer i z wielką powagą w postawie i na twarzy przerwał:

— To był mój obowiązek. Raz ja na służbę poszedł, to już uczciwie służyć powinien. Ja z tego chleb jem i powinien robić to, za co mnie chleb ten dają, inaczej ja byłbym zdrajcą, a zdrada to paskudna rzecz, brudna. Pan to sam kozackiemu setnikowi powiedział i ja wtenczas pana polubił! To pan wiesz...

— Nie mogę odmówić panu słuszności. Tak jest, jak pan mówi — z taką samą powagą, z jaką mówił oficer, odpowiedział więzień.

— *Nu, da!* Mnie kazali zrobić *rewizju*, to ja powinien był ją zrobić jeszcze lepiej, jakby ją inny robił...

— Dlaczegoż jeszcze lepiej...

— *A wot* widzicie dlatego, że ja polskiego *praischożdjenja* człowiek... to na mnie podejrzenie może paść, że zdradzam... i podejrzewał mnie o to setnik kozacki, to ja jemu chciał pokazać, że *czesi' i sowiest'* moje czyste. Ale bezbronych zabijać i... różne tam *poszłosti* dokazywać... nikt nie każe... to do służby nie należy. *Nu, da!* Do służby oficerskiej to nawet należy, żeby tego nie było... Widzisz pan, że ja i w jedną stronę, i w drugą stronę tylko obowiązek swój spełniam...

Pochylił twarz, zamyślił się.

— Zdaje się wszystko dobrze... W wojsku służysz, na wojnę idziesz, robisz to, co *naczalstwo* każe, obowiązek swój spełniasz, niczego innego tu i być nie może... a *adnakoż...* ciężko... jej, jej! Jak ciężko, jaki żal... Wszystko przewraca się we środku...

Ostatnie słowa wymawiał z czołem opartym na dłoni, szeptem ciężkim, takim, jakby przemawiał do ziemi, w którą wlepił wzrok zmacony, ponury.

— Dlaczego tak ciężko? Czego taki żal? — ze współczuciem i ciekawością zapytał Awicz.

— *A wot*, żeby ja sam o tym wiedział, to byłby kontent. Zdaje się, co tu takiego? *Głupostiej* narobili... *miatież*, bunt. Uspokoić trzeba. Na to wojsko i na to ja oficer. Śmierci nie boję się! *Trusem* mnie Pan Bóg nie stworzył. *Adnakoż* taki żal, taki smutek, taka jakaś we środku trudność... Myślę, ja myślę, co mnie takiego stało się i nie rozumiem.

Nie rozumiał tych instynktów, które pracować w nim zaczęły i tej iskry, która w nim spała długo, a teraz rozpalać się zaczynała w piekący płomień.

— Położenie okropne! — szepnął Aleksander, potem z żywością zawołał:

— Dlaczego pan wprzód, nim tu z wojskiem przybył, dymisji swej nie zażądał?

Nic dorównać by nie mogło zdumieniu, z jakim oficer oczy na niego podniósł.

— Do dymisji! — powtórzył z osłupieniem. — *W odstawku!* A co ja bym potem na świecie robił?

Była w tym powiedzeniu prawda gorzka i twarda. Co on by robił w jedenastym roku życia do korpusu oddany i ze wszystkich na tym świecie robót znający tylko służbę wojskową, ale za to, jak nie bez pewnej chluby mówił, znający ją jak rzadko kto wybornie i lubiący ją, chlubiący się nią dotąd... Tylko teraz coś takiego dziwnego z nim się stało...

W duszę swą głęboko nie spoglądał. Nie przywykł. Były chwile, że gniew ogromny zrywał się w nim przeciw tym *bezumcom*, obłąkańcom, którzy temu wszystkiemu byli winni i gdy sam jednak w oficerskim mieszkaniu swoim o nich myślał, zdawało mu się, że ich nienawidzi, że nimi, że ich głupotą gardzi, że z rozkoszą starłby ich z powierzchni ziemi. Ale trzeba było jednego tylko spotkania, jednego widoku, jednej czasem o nich

wieści zasłyszanej, bohaterkiej lub tragicznej, aby znowu jakieś szatany drażniące i szarpiące do wnętrza jego wstąpiły. Pomiedzy szatanami tymi odkrył raz jednego, któremu na imię: wstyd. Ani cienia pojęcia nie miał o tym, czego by miał się wstydić. Jednak ten to szatan właśnie wszystk4 krew rzucił mu do twarzy, gdy w czasie owej rewizji w owym dworze kobieta wdzięczna mu za zbawienie swych dzieci zapytała go, jak się nazywa. *Karłowicki!* Brzmienie tego nazwiska... Za nic w świecie nie zdołałby go wówczas głośnie wymówić. A setnik kozacki z ironią na niego patrzył, lepiej może go rozumiejąc niż on sam siebie!

Ani na chwilę już dnia tego nie odzyskał tej rubasznej i dobroduszej wesołości, która niekiedy posępn4 twarz jego rozjaśniała. Bawił też krótko, ale przed odejściem zapytał jeszcze Aleksandra, czy ta piękna panna, która go dziś razem ze sw4 matką odwiedziła, jest jego narzeczon4.

Dziś właśnie odbyły się ich zaręczyny.

— Dziś? Gdzie? Tu? Jak to?

Awicza zdumienie jego rozśmieszało.

Cóż w tym dziwnego? Kochają się z sobą od dzieciństwa, ale dotąd matka sprzeciwiała się ich chęciom z powodu pokrewieństwa i innych tam jakichś swoich chęci czy zamiarów... I dziś właśnie powiedziała, że już się nie sprzeciwia, że ich z sobą zaręcza. Oficer znowu był zdziwiony.

— *Wot kak!* Wprzódy nie zgadzała się, a teraz kiedy pan... zgubiony człowiek... zgodziła się. *Nu, eto* już takie... jak to powiedzieć... *blagorodstwo*, że człowiekowi aż w głowie kręci się. Ale jakże to będzie? Czy pan myśli, że pana tak i puszcz4 stąd, bez żadnego *nakazania*? To być nie może. Ześl4 pana, gdzie gorzki pieprz rośnie i majątek pewno odbior4...

Szczęśliwy uśmiech rozlał się po twarzy więźnia. Zniżonym nieco od rozmarzenia głosem odpowiedział:

— Wiem o tym, ale i tego również pewien jestem, że narzeczon4 moja nie opuści mnie ani w ubóstwie, ani na wygnaniu i że w każdej otchłani, wśród każdej burzy czy sloty życia będziemy sobie nawzajem pomocą i zbawieniem.

Oficer stał przez chwilę milcz4c i w ziemię patrząc. Po białym jego czole przepływały powstaj4ce i znikaj4ce zmarszczki. Byłż to fale podnoszone przez myśli nowe, dziwne, w które wpatrywał się, które wyrozumieć usiłował? I może nie tylko przez myśli. Wyraz rozmarzenia okrywaj4cy twarz więźnia i w jego oczy wst4pił. Odbiła się w nich jakaś nagle powstała tęsknota.

— Ślicznie pan to powiedziałeś... *wot* poezja to prawdziwa... prawdziwa... i wiara w człowieka, którego lubisz...

A potem z wybuchem zmieszanych uczuć przyjaźni i zazdrości.

— *Nu, da!* Szczęśliwy z pana człowiek!

— Choć zgubiony? — uśmiechn4ł się Aleksander.

— *Nu*, nie ze wszystkim zgubiony. Ale choć w biedę wpał, *adnakoż* szczęśliwy!

Gdy odchodząc szedł ku drzwiom, kroki jego cięższymi zdawały się być niż zwykle.

Dość długo potem nie powracał, aż przyszedł znowu i zaraz po powitaniu powiedział, że czuł się niezdrów i że mu w ogóle na ciele i duszy niedobrze. Więć po co, myślał sobie, miał tu w usposobieniu takim przychodzić? Myślał nawet też i o tym, aby już wcale nie przychodzić i obecnośc4 sw4 więźniowi nie *mieszać*, nie dokuczać...

— Bo gdzie mnie do was? I co wam ze mn4 za zabawa? Wy górny człowiek, a ja zwyczajnie, z *nizmiennosci*... (z nizin).

Ale nie mógł wytrzymać. Coś go tu ciągnie. Chciałby o niektóre rzeczy zapytać się, pogadać o nich i jeżeli Awicz pozwoli, to jeszcze ten raz...

Ależ owszem, owszem! Nie tylko ten raz, lecz ile razy tylko zechce. Czyż nie oddał jemu i bliskim mu osobom przysług ważnych? Czy pomimo wszystko, co ich dzieliło, nie byli zwi4zani wspólności4 ziemi rodzinnej i może czymś więć jeszcze?...

— Czymże? Czymże? Jakie między nami może być podobieństwo? — nagleco dopytywał się oficer. Widać o to podobieństwo szło mu bardzo.

— Czy pan czuje się szczęśliwy? — wzajemnie zapytał go Awicz.

Uczynił ręk4 gest gwałtowny.

— *K czortu takoje szcZastje!*

— No, widzisz pan! Jeden z nas w taki sposób, drugi w taki, a obydwaj...

— Rozumiem już, rozumiem i to jest prawda! — ponuro w ziemię patrząc dokończył oficer.

Policzki jego były daleko mniej niż przedtem rumiane i pełne, nawet plecy zdawały się mniej szerokie i mundur obejmował je mniej ciasno.

Bardzo wyraźnie schudł i pobrał. Awiczowi również każdy ubiegający dzień powlekał twarz coraz widoczniejszym piętnem więziennej męki. Szafirowe oczy jego wydawały się ogromne wśród wyszczuplonej twarzy, młode ciało, swobody ruchu pozbawione, nabrało poruszeń ociężałych, pierś przyzwyczajona do powietrza, przestrzeni szerokich i wolnych chwilami z trudnością oddychała.

Przez kilka minut na siebie patrzyli, a potem jednostajnie, porozumiewawczo wstrząsnęli ku sobie głowami.

Oficer na stolku siedział, ale łokci z fantazją nie rozstawał, oparł je na kolanach i głowę w obie dłonie ująwszy mówił:

— Ja o Apolku ciągle myślę... W dzień jeszcze nic, ale w nocy to on ciągle nade mną stoi, tak jak ja jego tam na trawie widział, z tą czarną dziurą pośrodku czoła... Pytam ja jego... On był rozumny chłopiec, szkoły skończył i z drugiego kursu *uniwersytietu*... To ja jego pytam się: „Jakim sposobem ty, taki rozumny chłopiec, nie wiedział i nie rozumiał...” Ale nie tylko on! Wy wszyscy z nauką, z rozumem, jakim sposobem mogli tego nie wiedzieć i nie rozumieć, że to *bezumje* jest — *sumaszestwie*, naprzeciw takiej potęgi stawać... Pytam się ja jego: „Po co ty, kochany chłopcze mój, z motyką przeciw słońcu skakał?” On mnie nic nie odpowiada, ale na drugą noc znów przychodzi, staje nade mną z tą dziurą w czole i tylko *gubami* porusza, a mnie zdaje się, że te *guby* mówią: „Toż ty sam, bracie, zakomenderował żołnierzowi: strzelać!”

Wtenczas ja do niego krzyczę, że powinność swoją spełnił, a u niego znowu *guby* poruszają się i mówią: „Ty dobrze zrobił, ale ty i płakać po mnie nie powinien, bo ja wrogiem był tego, komu ty przysięgał służyć”. *Nu*, to i co, że dobrze zrobił i że nie powinien płakać? Ja *placzu*, bo on *dorog* mnie był, bo to była moja krew... I wy wszyscy moja krew, ja to poczuł teraz, kiedy was poznał...

Podniósł nagle głowę, w twarzy Aleksandra zdziwione i bolejące oczy zatopił.

— Byłeś pan kiedy w Petersburgu?

Pytanie było niespodziewane, odpowiedź twierdząca. Jakże nie? Zna dobrze to miasto, cztery lata przebył tam ucząc się, przed rokiem zaledwie stamtąd powrócił. Oficer wciąż zdumionymi oczyma na niego patrzył.

— Jakie bogactwa? A? Jakie pałace, wszystko z drogocennych kamieni budowane? Marmur, granit, malachit, złoto wszędzie aż cieką. Jakie parady! A *rewie* wojenne widziałeś pan? A?

I bogactwo, i pałace, i parady, i rewie Awicz widział i nawet z bliska się im przypa-trywał.

— A jakie są siły armii naszej, czy pan wiesz?

I pewny, że o tym przedmiocie więzień dostatecznych wiadomości posiadać nie mógł, jął szczegółowo mu go wyklądać. Tyle to i tyle korpusów, dywizji, pułków w piechocie i kawalerii, na takie i na takie rodzaje i oddziały podzielona jest artyleria, a w każdym z oddziałów znajduje się tyle i tyle armat, koni i ludzi. Najdzielniejsi wodzowie, czyli generałowie korpusów i dywizji, nazywają się tak a tak, mają za sobą takie a takie bitwy zwycięskie, doświadczenie wojskowe, wszystko, czego potrzeba, aby każdego nieprzyjaciela, choćby najsilniejszego, pobić, zgnieść, zmiażdżyć...

Długo opowiadał, wyliczał, wyjaśniał, a im dłużej mówił, tym gorętsza stawała się jego mowa. W uczuciu poszanowania, do czci posuniętego względem tej potęgi orężnej, którą słowami malował, w uczuciu chluby, że sam cząsteczkę tej potęgi stanowił, znikać się zdawały i milknąć te zgryzoty, zwątpienia i żale, od których jednak wyszczuplały i pobrałdy mu policzki, które sprowadzały mu noce bezsenne, z widmem zabitego brata stojącym u wezglowia.

W zamian poczynął go ogarniać gniew, który nim rzucał i przez gardło jego krzyczał w czasie rewizji owej w owym dworze.

Począł biegać po celi więziennej, brwi najeżając, ramionami rozmachując.

— I wy, wy, garść ludzi *niewojennych*, mała garść, bez armii, bez armat, *bez krepости*, bez sławnych wodzów, bez *skarbu*, przeciw takiej potędze wystąpili! *Wied' eto bezumje jest, sumaszestwie, samoubijstwo, czort znajet, szto takoje...* I żeby to głupie ludzie robili, ciemne, ale nie! Między tymi, co robili, mało głupich i ciemnych. Sam kwiat narodu... samo jego światło... Ja tego zrozumieć nie mogę i ja by was za to... *czort pobieri*, karał, do *turmy* sadzał, zsyłał...

Nagle znowu na stolku siadł i w obydwie ręce głowę schwycił.

— Oj, Apolek ty, Apolek, bracie ty mój nieszczęśliwy! Ty mnie na tamtym świecie nie przeklinaj za to, że ja tak mówię! Mnie *skorbno, żalostno*, mnie straszno, mnie wszystko we środku przewraca się, kiedy ja to mówię... Ty był rozumniejszy ode mnie, naukę miał... a teraz każdej nocy do mnie przychodzisz... Czemu ty mnie nie powiesz, co ty myślał, w co ty ufał, co tobą *rukowodilo*, kiedy to robili?

W chwili gdy tak pytał, dłoń łagodna z braterską poufałością spoczęła mu na ramieniu.

— Ja powiem ci o tym, bracie Apolka, co nim rządziło, kiedy on to robił. On kochał ojczyznę i wolność. Czy ty wiesz, co to ojczyzna? Czy ty wiesz, co to wolność? Nie! Ani jednej, ani drugiej tyś nawet nie widział. I jeszcze: on nienawidził niewoli. Czy ty wiesz, co to niewola? Nie, tyś nigdy nie uczuł, czym jest ona, boś sam był jej sługą. I jeszcze: on kochał dawną chwałę narodu swego. Czy ty wiesz, jaką była ta chwała? Nie: tobie nikt nie ukazał ani jednego promienia jej korony; ani jednego strzępa jej purpury. Więc zrozumieć nie możesz, co w nierówną tę walkę pchnęło Apolka, co w nią pchnęło nas wszystkich, jakie burze szaleją w piersi człowieka deptanego stopą przemocy i jakie niepokonane zapęły zrywają go spod tej stopy, aby wyprostować się, głowę podnieść, ramiona wyprężyć i stać się z raba człowiekiem, człowiekiem wolnym... To są prawa natury, które w nas przemówiły, to wola Boga, który każdemu z ludzi i z narodów dał duszę osobną i wolną, to krzyk naszej duszy do świata, do ziemi, do nieba, że żyjemy i że żyjących nikt nie ma prawa wtrącić do mogiły. Zginiemy — dobrze, ale ten krzyk nasz, krwią i łzami ociekły, zostanie w powietrzu i tym, co po nas przyjdą, umrzeć nie da i sennych zrywać będzie z puchowych pościeli, i stanie się snem czarnym i snem złotym narodu, i chłoszczącym go do wiecznej walki biczem, a wtedy dopiero przebrzmi, kiedy zwycięży — idea.

Ale czyś ty myślał kiedy, co to jest idea? Nie; ty mówisz: *idee to głupost'*. Więc nie rozumiesz tego, że idee to siła potężniejsza od twojej piechoty i kawalerii, od twoich armat i sławnych generałów, bo wojsko ich to najlepsze ludzkie głowy i serca, a polem ich bitew to wieki. Dziś pociskami armatnimi na proch starta idea odrodzi się jutro i jej być musi prędzej czy później zwycięstwo ostateczne, i ona jest rozumem wyższym nad cyfrę twojej armii, nad twoje petersburskie granity i malachity, nad twoje szyderstwa i gniewy — bo jest samą prawdą świata i Boga.

Upadł na zydeł Aleksander zmęczony, wzruszony i szybko dyszała mu pierś wyszczupiała w powietrzu więziennym, a o krok przed nim siedzący na stolku podniósł twarz z czołem bladym i siwymi oczyma, które pod rudawymi brwiami gorzały jak żuźle.

— Ja zrozumiał... Może nie wszystko, ale wiele z tego, co pan mówiłeś, ja zrozumiał. Tak jest. Idea to nie *głupost'*. Może wy albo wasze *nasledniki* i zrobią tak, że na świecie żyć będzie lepiej. A teraz ja ot co powiem! Nie pan jesteś człowiekiem zgubionym, choć pana Sybir czeka, ale ja... dlatego, że o takich rzeczach nigdy nie myślał, nie wiedział... ja człowiek zgubiony... Żeby i generałem został, to czuję!... że *adnakoż* zgubiony! — Podniósł się ze stolka, na zegarek spojrzął.

— *A usio taki* na służbę trzeba.

Wstrząsnął silnie ręką więźnia.

— Dziękuję panu! Dziękuję! Dziękuję!

Za co tak gorąco i długo dziękował! Czy za rozjaśnianie przed nim ciemności, w które wpatrywał się przestraszonymi oczyma? Czy za obudzanie mu w głowie myśli wyższych nad bagnety, armaty, malachity, granity i wojskowe rewie? Czy może za to braterskie *ty*, które w głosie Aleksandra zabrzmiało mu echem głosu Apolka?

W dniach następnych jeszcze kilka razy ukazał się w celi więziennej, na krótko jednak, bo miał jakieś ważne zajęcia służbowe, które mu czas zabierały. Rozmawiali jednak ze sobą, choć zawsze niedługo, o rzeczach różnych, powszednich i niepowszednich, oficer więźniowi trochę o życiu swoim opowiadał, o oficerskim życiu, które poza czynnościami



służbowymi wypełniały karty, kobiety, hulanki. On tyle tylko, że pijakiem nie był. Zresztą wszystko tak jak inni...

— Podłe życie! — rzekł raz. — Co tak żyć, to może i lepiej tak jak Apolek...

Potem Awicz przez czas jakiś go nie widywał, aż dnia pewnego...

## VI

Dnia pewnego kapitan Apolinary Karłowicki wyszedł od przyjaciela swego stojącego na wysokim *postie* jakby ogłuszony i oślepy, tak przerażony i zgnębiony. Coś czarnego wisało mu przed oczyma, coś ciężkiego leżało mu na głowie, coś straszego wstrząsało jego sercem.

Na świecie sierpień już był; nad ziemią w żółte ścierniska ubraną czas płynął w szacie czarnej i skrajami jej tu i ówdzie zaczepiał o sucho na błękitach nieba wyrysowane linie szubienic.

Lasy opustoszały i głosy orężnych bojów przestały już przerażać plectwo zbierające się już do jesiennych odlotów; natomiast zaludniły się i przeludniły więzienia; zaludniły się i przeludniły żelazne wozy uwożące gromady ludzkie w krainy nieprzejranych oddali i niezgłębionych cierpień.

Zadzwoniły po miastach i drogach kajdany, rozbiegło się po szerokim kraju słowo: *katorga*.

Stały smukłe topole włoskie nad dachami dworów wiejskich i w cichej pogodzie sierpniowej milczące słuchały rozlegającej się u stóp ich szumnie, dumnie, zwycięsko mowie dotąd nie słuchanej, mowie obcej.

Czy topole te były wyższe od czarno i sucho na błękitach nieba rysujących się linii szubienic? I czy spośród niw w żółte ścierniska obleczonych patrzyły one na te linie, które wznosiły się u niskich ścian miasteczek i u wysokich murów miast?

Każde miasteczko i każde miasto posiadało swoje szubienice. Stały się one towarzyszami ludzi, widokiem ich oczu, przedmiotem myśli i zaprawą chleba.

Od wielkorządcy kraju do miast i miasteczek przybył rozkaz, aby w każdym z nich pewna liczba ludzi dostała na szyje powrozy. Niezbędnie i jak najrychlej.

Liczba tych przedmiotów najwyższej kary i pomsty ściśle została dla każdego z miast i miasteczek oznaczona. Tu miało ich być trzy, tam pięć, ówdzie dziesięć itd. Wybór należał do tych, którzy na każdym miejscu badali i dośledzali winy. Powiedział o otrzymanym rozkazie kapitanowi Karłowickiemu przyjaciel jego wysoko postawiony i o tym również, że na miasteczko, w którym się znajdowali, przypadło przyszych wisielców trzech.

Na kogo wybór padnie, przyjaciel nie wiedział, lecz to z żalem powiedzieć musi i do tego dawnego swego współtowarzysza przygotować, że paść on może pomiędzy innymi na *plemiannika* tegoż współtowarzysza, to jest Aleksandra Awicza.

— Jak to? Bóg z tobą! To być nie może! To tylko dla tych, co z wojska uciekli albo tam co straszego... Ale on...

On! Przez niego to, przez niego właściwie zginęła cała prawie rota wojska, zabity został młody i zdolny oficer kozacki, spadł na wojsko taki wstyd.

— Zrozumiejsz ty, Apolinar, że to wina ogromna, a twój krewny powiększa ją jeszcze postawą, jaką wobec komisji zachowuje. Wyznaje wprawdzie swoje przestępstwo, lecz że popełnił je, nie okazuje ani cienia żalu. I nic więcej oprócz tego, że je popełnił, wyjawiać nie chce. Skryty jest, hardy, popędliwy. Wymykają się mu czasem wobec sędziów słowa nieogłędne, które wprawdzie powstrzymuje prędko, ale które gdy raz padną, już ich w pamięci nie zatrzeć. Sędziowie go nie lubią i uważają za jednego z najniebezpieczniejszych, najszkodliwszych. Są przy tym obarczające go zeznania ludzi postronnych. Szerzył bunt, namawiał do niego innych, zgromadzał broń, służba jego dowoziła do obozu *miatieżników* żywność... Bardzo, bardzo jest prawdopodobne, że wybór sędziów pomiędzy innymi i na niego także padnie. Zrozumiejsz, Apolinar, że ja nie jestem członkiem komisji, że to do mnie nie należy i że powtarzam tylko, com słyszał od innych, a powtarzam dlatego, że ciebie jak swoją duszę lubię i chcę, abyś o tym, co mocno zabolę, dowiedział się z ust życzliwych. Otóż to bieda mieć krewnych pomiędzy takimi... i jeszcze ich lubić! Ja ciebie żałuję, *gahubczyk*, i wszystko, co w mocy mojej, czynić będę, aby się to odmieniło, aby to nie nastąpiło. Ale wszechmogący przecież nie jestem i jeżeli nawet od szubienicy go

wykręcę, to już od katorgi za nic... Jeżeli nie na szubienicę, to do katorgi musi pójść... Jeżeli nie za przestępstwo swoje, to za hardość i zamkniętość, za to, że sędziów swoich źle dla siebie usposobił. Na to już nic ja poradzić nie mogę...

Nie był przyjacielem na wysokim *postie* stojący człowiekiem złym, był nawet człowiekiem wdzięcznym i litościwym.

Jedno jeszcze dla krewnego przyjaciela uczynić może. Uprosi członków komisji, aby go raz jeszcze przed sobą postawili i spróbowali, czy się nie upamięta, czy nie zmięknie, czy nie wyjawia różnych tam rzeczy, o które dotąd nadaremnie go zapytywali. Mogłoby to ich ułagodzić i nieco dla niego zjednać...

— Już ja tak zrobię, że on jeszcze raz do komisji wezwanym zostanie, a ty, Apolinar, popracuj nad nim, żeby spokorniał, zmiękł, wyjawiał...

Podziękował oficer swemu wysoko postawionemu przyjacielowi za jego przyjaźń, za jego dobre chęci, ale długo mówić nie mógł, bo coś go za gardło chwytalo i za czaszkę, tak że mowę i myśli miał zmaczone. Tyle tylko, że jeszcze zapytał:

— Jak prędko nastąpić to może?

— Co?

— Nu, jak prędko będziecie wieszać?

Zachnął się przyjaciel.

— *Pamiętaj*, Apolinar! Czyż to ja?

— Nie, nie ty, nie ty, *gabuczyk*, ale jak prędko?

— Za tydzień, za dziesięć dni najdalej. W rozkazie stoi: rychło!

— Dobrze. A to wezwanie do komisji?

— Może za dni pięć albo sześć... nie przędź, bo oni tam roboty mają *propast*!

— Pozwolisz dowiadywać się?

— Jakże! Naturalnie.

— Co dzień?

— Co dzień, Apolinar, ja *k twoim usługam* i jeszcze... nigdy dość nie odpłacę...

Schodził ze schodów wysoko postawionego przyjaciela jak ogluszony i oslepy i gdy na ulicę wyszedł, jeszcze ciemność czerwona przed oczyma mu wisiała. Dobry był przyjaciel dla niego i dla jego *plemiannika*, ale sprawiedliwie rzekł, że wszechmocy w ręku swym nie dzierżył.

Zapomniał kapitan Karłowicki o tym, że skłamał przed przyjacielem i że Awicz krewnym jego nie jest. Parę razy nazwał go w myśli swoim *plemiannikiem*, a nieustannie czuł, że go serce i głowa bolą, jak bywa tym, którzy idą za pogrzebem najdroższych krewnych. I jeszcze gorzej, bo o pogrzebie, że nastąpi, choć przez dzień czy przez dwa już wiadomo, a to spadło tak niespodziewanie. Wiedział i przedtem, że biedy jakiejś stać się muszą. Pewno majątek odbiorą, na Sybir wyślą; jednak nic by to jeszcze... Taki zuch i bez majątku, i na wygnaniu... zwłaszcza z tą narzeczoną... Z wygnania ludzie wracają... Ale szubienica! Katorga albo szubienica! I wybieraj tu, człowieku, co gorsze, a co lepsze! Jedno i drugie jak poczwary w oczy mu patrzą. Szubienicę widzi tak wyraźnie, jakby rzeczywiście przed nim stała i dzwonienie kajdan słyszy. I stuk młotów także, świst batów... *Czort znajet*, jaki to świat! Jakie ludzie! Jakie życie nasze!

Przeszedł ulicę miasteczka, nic i nikogo nie widząc, aż wyszedł w pole. Tu powiewy wiatru nieco go otrzeźwiły. Stał, na zegarek spojrzął, pomyślał: może jakie obowiązki służbowe? Może do nich powracać trzeba? Nie; na szczęście dziś wszystko już wypełnił, co do wypełnienia było i aż do końca dnia miał czas wolny. Poszedł więc dalej drogą bielejącą pośród żółtych ściernisk i wkrótce pleczysta postać jego ze zwieszoną głową zniknęła w pobliskim lesie.

Wieczór zbliżał się i nad lasem tylko już rąbek tarczy słonecznej widać było, gdy do miasteczka powracał. Kilka godzin przepędził sam jeden w myślach samotnych, kędyś tam chodząc po drogach leśnych lub siedząc na obalonych kłodach, pod parasolami sosen, przy świergocie ptactwa, w zapachu wilgotnych mchów.

Czy to samotność i natura tchnęły w niego spokój i ukojenie? Bo rysy miał ukojone, kark wyprostowany i krok spokojny, równy. Szedł prędko i gdy znalazł się na ulicach miasteczka, iść zaczął jeszcze przędź. Szedł prosto w kierunku więzienia.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi celi Awicza, bez słowa powitania zapytał:

— Gdzie mieszka narzeczona pańska?

— Ależ ona i matka jej dziś tu były! — wesoło zawołał Awicz.  
— To może jeszcze w miasteczku?  
— Nie; odjechały stąd prosto do domu...  
— A gdzie ten dom? Gdzie ten dom? Jak nazywa się ten majątek? Ile wiorst stąd?  
— sypał pytaniami oficer i teraz znowu można by w oczach jego dostrzec mękę duszy, gorączkę ciała.

Awicz ucieszony nowym widzeniem się z narzeczoną śmiał się.

— Na co panu te wiadomości? I co znaczą te pytania? Niechże panu nie przychodzi do głowy zakochać się w mojej narzeczonej...

— Żartujecie, a ja *serjozno*...

Upadł na stołek raczej, niż na nim usiadł. Ręką powiódł po czole.

— Ja zmęczony! Ale ot co jest... *po dielam* służby mnie na wieś posyłają. Może tam gdzie blisko narzeczonej pańska mieszka. Chciałbym wstąpić, poznać się, uszanowanie jej i jej matce złożyć...

Awicz uprzejmie odpowiedział:

— Owszem, owszem! Rade będą panu. Ciotka moja ma zawsze łzy w oczach, kiedy o panu wspomina. „Ryczał — mówi — to ryczał i obrzydliwie żołnierzy łajał, ale od strasznych nieszczęść wyratował!” I za to, że widywać mnie mogą, bardzo panu są wdzięczne. Ucieszą się, gdy je pan odwiedzi. Nie masz pan przy sobie notatnika i ołówka, to bym nazwę majątku zapisał, bo trudna do zapamiętania i możesz pan zapomnieć albo przekreślić.

Miał przy sobie jakiś zeszycik przy pełnieniu służby potrzebny i podał go razem z ołówkiem Awiczowi. Ten miał już pisać, ale wstrzymał się i namyślał.

— Może tę nazwę i którędy tam jechać po rosyjsku panu zapisać... łatwiej pan wyczyta... może w jakim pośpiechu.

Potwierdzając skinął głową i uważnie patrzył na Awicza kreślącego w małym zeszycie słów kilka po rosyjsku.

— Pan tego języka nienawidzisz?

— Język miałbym nienawidzić? A cóż on winien. Czy to on podbija, bierze w niewolę, krzywdzi, gnębi?

Uśmiechnęły się poważne dziś usta oficera.

— *Nu, da!* ale ludzi, co tym językiem gadają, to pan pewno *užas kak* nienawidzisz.

Awicz ramionami wzruszył.

— Nie wszystkich. Tych, którzy mi matkę mordują i braci dręczą, nienawidzę, ale tych, co żyją gdzieś tam daleko ani myśląc o tym i żadnej korzyści z tego nie odnosząc, tylko żaluję, bo złość jak jad przenikając cały organizm i w nich przeciec może. Wiesz pan co...

Tu zerwał się z zydlu i z energicznymi gestami kończył:

— Z moją naturą nienawiść się nie godzi. Ja bym wołał wszystkich ludzi kochać, ze wszystkimi być w zgodzie... Cóż, kiedy taki jeszcze świat!

— Taki jeszcze świat! — jak echo powtórzył oficer. Ale więzień o rzeczach bolących dziś długo mówić nie chciał. Był cały różowy od dzisiejszego widzenia się i od dzisiejszej rozmowy. Wzrok jego upadł na szybkę w oknie otwartą.

— Jaka cudna zorza! — zawołał. — Spójrz pan!

Nad pasem lasu słały się istotnie purpury zorzy już prawie jesiennej, jaskrawej, a smętnej. Podszywały je ognie przysłonięte, tajemnicze i wypływało znad nich jezioro bladego złota.

Dwie pary zamyślonych oczu ludzkich przez okienko więzienne patrzyło na tę pyszną ozdobę nieba. Więzień po chwili mówić zaczął:

— Czy pan nic na tę zorzę patrząc oprócz niej nie widzisz? Czy panu nic na powierzchni jej się nie przedstawia? Ja widzę. Mnie się przedstawia tu, na tym złotym jeziorze, dom mój rodzinny nad jeziorem stojący, moja kochana Jeziorna, której już może nigdy nie zobaczę. Nieduże to, nie wspaniałe, ale takie miłe, drogie, z każdym nerwem mego ciała, z każdą struną mej duszy związane. Oto tu, nad tą fioletową chmurką, stoi dom niewielki jak nasze wszystkie, biały i z gankiem, tam dalej topole włoskie, a tam stary wiąz pośrodku dziedzińca, po którym biegnie pies, Nestor, ulubieniec mojej nieboszczki matki...

Zaśmiał się jakoś z cicha i z kolei wskazał na pas ciemnego fioletu, w dalekich głębiach nalany płomiennym ogniem.

— A na tym pasie ciemnym i w głębi gorejącym, wiesz pan, co widzę? Chatę sybirską daleką, daleką, pod światłami północnej zorzy stojącą i na progu jej nas dwoje... A pan co widzisz? Czy nic wcale? To być nie może! Powiedz pan szczerze...

Umilkł w połowie wyrazu i wzrok szybko z zorzy na towarzysza przeniósł, zdziwionym gwałtownym jego ruchem. Oficer gwałtownie cofnął się od okienka i oczy zakrył ręką, która drżała. I on zobaczył coś na złotym jeziorze zorzy. Zobaczył sucho zarysowane na nim czarne linie...

Rękę od oczu odejmując zaczął spieszenie:

— To nic! To nic! Oczy od patrzenia na tę światłość zabołały. Mnie już czas iść. Ze trzy dni będę jeździł *po służbie* i pana nie zobaczę. Bądź pan zdrów!

Był już przy drzwiach. Zatrzymał się jeszcze.

— Bądź zdrów! — powtórzył.

A potem przez okrągłe okienko we drzwiach:

— *Atwarit!*

Ale mniej jakoś głośno i twardo niż zwykle.

Z łatwością otrzymał trzydniowy urlop i u końca dopiero dnia trzeciego do miasteczka powrócił. Zaraz poszedł do wysoko postawionego przyjaciela.

— Dokuczam ci ja, *gohubczyk*, ale to już ostatni raz... Potem nigdy już nie będę. Cóż z tym wezwaniem mego *plemiannika* do komisji? kiedy?

— Jutro wieczorem!

Radość błysnęła mu w oczach.

— Wieczorem! To dobrze, dobrze!

— Z czego ty tak ucieszył się, Apolinar?

— Cały dzień jeszcze mieć będę do namawiania...

— Namawiaj, namawiaj, aby upokorzył się. Od tego zależy wszystko.

— Ale, drogi, uczyni ty mi jeszcze jedną łaskę. Niech ja jego sam do komisji prowadzę. Nie żołnierze, ale ja sam. Z żołnierzami, widzisz, jak będzie szedł, to w nim znowu zbuntuje się polska i szlachecka dusza, a ze mną, to co innego. Ja go jeszcze przez drogę do ostatniego momentu... rozumiesz? Ostatnie wrażenie.

— Rozumiem! Jak ty, *adnakoż*, Apolinar, zmizerniał i jaka *pieczal* w twoich oczach! Ja ciebie żałuję. Poproszę, aby ci dali *bumagu... pa prikazanju...*

Kapitan Karłowicki objął ramionami współtowarzysza lat chłopięcych, nie wiedząc dlaczego popatrzał na niego długo, długo i na koniec serdecznie go ucałował.

— Bóg niech będzie z tobą! Bóg niech będzie z tobą! Ja tobie z serca dziękuję... za wszystko!

— Co tobie? Jakbyś dokąd wyjeżdżał i żegnał się! Ale prawda, że tu teraz żyjąc rozum postradać można. *Uzasy takije!* Już ja posłał prośbę, aby mnie stąd przenieśli, choć na Kamczatkę, byle gdzie indziej. Nie mogę dłużej wytrzymać i rąk swoich w tym wszystkim *marat'* nie chcę.

Z dziwnie uspokojoną, wypogodzoną twarzą wyszedł kapitan od przyjaciela swego. Targał go przedtem niepokój, czy to wezwanie do komisji nie wypadnie w godzinach dziennych, choć miał nadzieję, że stanie się to wieczorem, bo komisje, ogromną ilością posiedzeń obciążone, dniami i nocami pracowały. Teraz upewnił się o czymś dla siebie bardzo ważnym i to mu dawało wygląd człowieka zadowolonego. I jeszcze, niewiele o tym myśląc, czuł w głębi radość, że przyjaciel wysoko postawiony, ten dobry, kochany człowiek, chce kraj ten opuścić i rąk swych *uzasami* tymi nie *marat'*.

Namawiać Awicza, aby spokorniał, zmiękł, wyjawiał to, co komisja zapytywać będzie, ani myślał. Wiedział naprzód, że namawianie skutku by nie osiągnęło, a potem nie chciał, aby za cenę choćby życia jego i swego, nie chciał, aby się tak stało. Chętnie tylko w myśli sprawę sobie z tego zdawał, ale czuł bardzo wyraźnie, że gdyby się tak stało, gdyby Awicz upokorzył się, zmiękł, poczał wyjawiać, byłoby to dla niego czymś takim jak zaćmienie słońca lub rozsypanie się w proch tych kształtów, którymi zachwycaly się jego oczy.

Jednak pomimo że z przeprowadzenia więźnia do miejsca posiedzeń komisji nie zamierzał czynić takiego użytku, o jakim przyjacielowi mówił, radość milcząca, ale głęboka napęliła mu oczy, gdy przyobiecana *bumagę* wziął do ręki. Schował ją za mundurem

u piersi i jeszcze kędyś na kraniec miasteczka poszedł, kędyś dość długo bawił, aż na koniec, godzinę oznaczoną nieco wyprzedzając, udał się do więzienia. Wchodząc do celi Awicza rzekł od razu:

— Jesteś pan wezwany do komisji i ja mam pana tam zaprowadzić.

Na więźnia wiadomość ta wywarła wrażenie przykre. Nie spodziewał się jej; myślał, że śledztwo zastało już ukończone. Ale jeżeli trzeba, to trzeba! Czego ci ludzie chcą jeszcze od niego? Czego się po nim spodziewają? Powinni byli przecież zrozumieć, że nie wytłoczą z niego ani jednego słowa więcej nad to, co już powiedział. Prędkoż to nastąpi? Dziś? Jutro? Zaraz? Oficer uprosił, by mu pozwolono tam go zaprowadzić, bo może przecież nie tak przykro będzie, jak z feldfeblem i żołnierzami?

Aleksander ze wzruszeniem rękę mu ścisnął.

— Jaki ty dobry dla mnie, bracie!

— *Nu*, co tam! Co tam! Ja by dla ciebie *Bob znajet szto!*...

Dziwne u ludzi bywają czasem przeczucia, te uprzedzające wypadki rzuty duszy. W tej chwili dwaj ci ludzie po raz pierwszy zaczęli sobie mówić: ty!

— *Nu* — rzekł oficer — czas nam w drogę!

Przez otwór w drzwiach zawołał:

— *Smatrytiel!*

Wezwany dozorca natychmiast wszedł do celi; Karłowicki papier z za mundura wyjęty mu pokazał:

— *Po prikazanju...*

Wyszli obaj z celi, przeszli różne korytarze i wschody, przed wyjściem z budynku Karłowicki znowu komuś papier pokazywał. Szyldwachy wszystkie rotnego dowódcy salutowali.

Gdy znaleźli się na ulicy, oficer więźnia pod ramię ujął i krokiem iść zaczął. Aleksander odetchnął pełną piersią.

— Ach — rzekł — powietrzem świeżym oddychać choć przez chwilę, co za rozkosz! Ale dlaczego idziemy tak prędko?

I nie dał towarzyszowi czasu na odpowiedź, bo sobie o czymś przypomniał.

— Ale, ale! Widziałeś narzeczoną moją i jej matkę! Byłeś u nich? Jak mają się? Co tam słyhać?

Uliczki miasta były ciemne i prawie puste; kiedy niekiedy tylko dwaj spiesznie idący ludzie spotykali się z niepozornymi, spieszącymi, obojętnymi na wszystko, co ich samych nie otaczało, przechodniami. Jednak oficer do szeptu prawie głos zniżył odpowiadając:

— Twoja narieczona to cud kobieta! Odważna, dla ciebie na wszystko gotowa. *Wot Polki to kakija!* Ja dawniej żadnej nie znał! My z nią wiele, wiele mówili o różnych tam... naradzali się i ja tobie powiem, że u niej nie tylko *krasata* i serce, ale i rozum...

Mówiąc przyśpieszał coraz kroku.

— Czego my tak biegniemy? — zadziwił się znowu Aleksander.

— Tak trzeba! — odpowiedział oficer i w głosie jego zabrzmiała nuta wydającego rozkazy *kamandira*.

U końca wąskiej uliczki widać już było jednopiętrowy budynek, w którym zasiadała komisja. Wszystkie okna budynku tego były oświetlone, przed gankiem paliła się latarnia i w świetle jej połyskiwały bronie szyldwachów.

Jeszcze kilka, jeszcze kilkanaście kroków i oficer nagłym ruchem skręcił w jakieś ciasne, brudne przejście pomiędzy jakimiś wpół rozwalonymi lepiankami i płotkami, więźnia za sobą pociągając.

— Co to? Dokąd? Gdzie idziemy?

— Milcz! — szepnął oficer i jakkolwiek szept to był, zabrzmiał w nim twardy, niemal groźny rozkaz.

Ramieniem jak żelazną obręczą opasywał ramię więźnia.

Lepianki i płotki stawały się rzadsze, można było wśród zmroku dostrzec ukazujące się za nimi pole.

Ramię Aleksandra pomimo żelaznego uścisku oficera drżeć zaczęło.

— Co to jest? Dokąd mnie prowadzisz? Co chcesz uczynić?

Nie odpowiadał i po minucie znaleźli się już za miasteczkiem.

Wieczór był dość późny i pomimo gwiazd usiewających niebo ciemny, bo szmaty chmur tułały się pod gwiazdami, gnane i rozganiane przez wiatr, którego prawie jesienne podmuchy z lekka szumiały po gładkim polu.

Na wąskiej ścieżce przerywającej pole, tu i ówdzie rosnącymi nad nią krzakami ocienionej, oficer zwolnił kroku i szeptem mówić zaczął:

— Ty nie wiesz, że tobie grozi śmierć... na szubienicy albo katorga. Ja o tym dowiedział się i nie mógł przecież z rękoma założonymi czekać. Ja pojechał do twojej narzeczonej i my z nią wszystko ułożyli. Ty będziesz wolny...

— Wielki Boże! — wykrzyknął Aleksander.

— C... c... c...icho! — zasyczał oficer i narzekać zaczął. — Oj ty Boże mój! Jaki *pyłki* charakter! Tu trzeba jak myszy cicho... a on krzyczy! Słuchaj i nie mów nic! Ja wszystko powiem...

Szybko idąc z głową ku głowie towarzysza przybliżoną, mówił:

— Przez las ten przeleciś wiorst trzy, za lasem będzie karetka sześciu końmi zaprzężona, z dwiema damami.

Potem jeszcze mnóstwo szczegółów i na koniec:

— O świcie w drugiej guberni już znajdziesz się, a tam granica *austryjska* niedaleko, będą tacy ludzie, co tobie...

Jeszcze trochę szczegółów i wskazań!

Aleksander nie odpowiadał, ogłuszony, wstrząśnięty, do utraty oddechu pociągany naprzód przez towarzysza, który znowu kroku niezmiernie przyspieszył.

Już znajdowali się blisko lasu. Pod lasem na tle zmierzchu zarysowały się sylwetki osiodłanego konia i człowieka za uźdę go trzymającego. Dostrzegłszy nadchodzących człowiek lejce na szyję konia zarzucił i jakby pod ziemię zapadł, tak w mgnieniu oka zniknął. A koń z głową ku nadchodzącym obróconą zarżał nagle, krótko.

— Piorun! Mój Piorun! — krzyknął Awicz i rzucił się na szyję pięknego zwierzęcia, a ono zgrabny pysk na ramieniu mu położywszy wydawało chrapania urywane, w których czuć było pieśczość i radość.

Ale pomiędzy witających się przyjaciół wmieszało się ramię rękawem munduru okryte, głos niecierpliwego rozkazującego wymówił:

— Dość tego! Wsiadać na koń!

Ale teraz w postawie Aleksandra tkwił wyraz oporu.

— Nie chcę... a ty? Odpowiesz przecie za mnie, przeze mnie zginiesz! Za nic w świecie. Wracajmy, wracajmy co najprędzej!

Z pobłażliwym uśmiechem oficer głową wstrząsnął.

— *Wot!* Niby to rozumny, a dziecko! Czyż ty myślał, że ja i dla siebie ratunku nie obmyślił? Ja zdradził, ja przeciw obowiązkowi i prawu służby postąpił, ja przyjaciela oszukał. To jakże ja mógłby tutaj pozostać? Ja tak samo jak ty ucieknę.

— Czy podobna! Więc razem! Czemuż nie razem?

Potrząsnął znowu głową oficer, lecz na znak przeczenia.

— Nie można razem. Ja sobie inną drogę *prydumał*. A ty o mnie bądź spokojny. Ani na karę, ani na hańbę ja nie dam się. Za ćwierć godziny i mnie, tak jak ciebie, już tu nie będzie.

Widząc, że Aleksander w wahającej się jeszcze postawie przy koniu stoi, dłoń na ramieniu mu położył. Oczy jego z głębokim, bolesnym błaganiem, z bliska zatapiały się w oczach Awicza.

— Siadaj! Prędko! I leć! Zrób mi tę łaskę. Ja wróg ojczyzny...

W piersi mu coś załkało.

— Niech to przynajmniej zrobię, że jej dobrego syna wyratuję! Niech to przynajmniej ja... dla ojczyzny...

Awicz roztworzył ramiona. Spoili się w uścisku silnym, lecz krótkim. Oficer napędzał:

— Prędkiej! Prędkiej!

Ej, Piorunie, koniu mój kochany, przenieśże ty mnie na wiatrowych skrzydłach przez piekielne progi!

W polu w pobliżu lasu, pod rozłożystą gruszą dziką oficer wsłuchiwał się w tętent konia, który oddalał się, cichł w lesie, aż ucichł zupełnie. Wyjął zegarek zza munduru, nisko pochylił się nad nim, dojrzał pomimo zmroku godzinę i minutę. Już od pięciu

minut powinien być tam razem z więźniem, nic to! Jeszcze pięć minut spokojnie czekać będą. Oparł się plecami o drzewo, którego rozłożyste gałęzie okrywały go grubym cieniem i patrzył na szmaty chmur przepływające pod gwiazdami. Przepływały bardzo prędko i podobne były do ogromnych ptaków z poszarpanymi ciałami i skrzydłami. Gwiazdy to ukazywały się, to znikwały. Bezbrzeżna samotność rozlewała się po gładkim polu i po gęstym zmroku, w którym sam jeden z szelestem lekkim latał chłodnawy wiatr.

Człowiek pod dziką gruszą stojący znowu przybliżył do oczu zegarek!

Teraz już tam niepokoić się zaczęli... Do kieszeni munduru sięgnął i w kilka sekund potem pod rozłożystymi gałęziami drzewa huknął rewolwerowy wystrzał.

Jednocześnie postać w zmroku niewyraźna, lecz ciemna i ciężka, runęła u stóp drzewa na zroszone trawy . . . . .

...Ej, serce człowiecze, jakie ty psoty srogie niekiedy płatasz tym, którzy w uderzenia twoje nie wsłuchiwali się nigdy...

Ej, krwi, od rodu ojczystego w dziedzictwie otrzymana, jak ty czasem obojętnie po żyłach człowieczych krążysz, aż wzburzysz się i zapłoniesz zgryzotą śmiertelną!

Ej, ty niewolniku biedny, któremu palce ziemskiego pana ugniotły duszę w kształt dla niego pożądany, coś uczynił, gdy ta dusza ocknęła się i krzyknęła, że taką pragnie zostać, jaką stworzył ją Pan Niebieski?

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gloria-victis-oficer>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Gloria victis*, Czytelnik, wyd. 1, Warszawa 1986

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).